

KURIER SOBIESKIEGO

LISTOPAD/GRUDZIEŃ 2021



REDAKTOR NACZELNY: JANEK WYRZYKOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: NATALKA WALESIENIUK

ZASTĘPCA ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: JUL KOMINEK

OPIEKA MERYTORYCZNA: PROF. DOROTA SECH

PROJEKT: MARIA LUDWISIAK, BACHA SKORUPSKA, NATALKA WALESIENIUK,
JANEK WYRZYKOWSKI, JUL KOMINEK

WYKONANIE: NATALKA WALESIENIUK, JANEK WYRZYKOWSKI, JUL KOMINEK, NATALIA
JĘDRZEJEWSKA

KOREKTA: PROF. DOROTA SECH

PROJEKT I WYKONANIE OKŁADKI: NATALKA WALESIENIUK

ILUSTRACJE: KUBA BOBER (STR. 9, 24, 27)

STRONY ZDJĘCIOWE: NATALKA WALESIENIUK

NA OKŁADCE: MARTYNA KNYZIAK, IGA NADIA PIETRZAK, JUL KOMINEK, LEON NATAN,
ADAM BORYS, KUBA BOBER, JANEK WYRZYKOWSKI

STRONA INTERNETOWA: JANEK WYRZYKOWSKI

SOCIAL MEDIA I PROMOCJA: TOHA PNIEWSKA

PATRONAT: DYREKTOR MAGDALENA KOCHEL

INSTAGRAM: @ODSIECZWIEDENSKA

„MATA W MAKU”, „DZIEŃ DOBRY, JA Z PIZZĄ”,
„POWODY PRZEJŚCIA NA WEGETARIANIZM
I WEGANIZM”, „PLAC ZBAWICIELA...”. GDY NA
MAILA REDAKCJI NAPŁYWAŁY TEKSTY DO
TEGO NUMERU, MIAŁEM WRAŻENIE, ŻE
PRZEWĀŻAJĄCA ICH ILOŚĆ JEST O JEDZENIU
LUB W JAKIŚ SPOSÓB SIĘ Z NIM ŁĄCZY.

Dziś wydaje mi się, że byłem wtedy po prostu głodny. Co prawda, w dziesiątym wydaniu Kuriera Sobieskiego, który właśnie trzymasz w ręku, jest więcej tekstów o jedzeniu niż w jakimkolwiek innym, ale zdecydowanie nie one przeważają w tym numerze. Nie przeszkodziło to jednak, by sesja okładkowa miała wyraźnie warzywny charakter. I tak, lekko marznąc, wraz z gromadką ludzi, którzy – nie wiem czemu – wierzą w to, że moje pomysły mają potencjał, konsumowałem warzywa przed Kinem Muranów, co wprawiało część przechodniów w konsternację. Czy było warto? Oceń sam. Efekty sesji obok oraz na stronach 18 i 19.

Oprócz wymienionych wyżej tekstów, w tym wydaniu znajdziesz także: w dziale muzycznym, artykuł ujawniający ciemną stronę K-popu, recenzję nowego albumu Sokoła i tekst o historii Black Metalu, tylko dla ludzi o mocnych nerwach.



FOT. NATALKA WALESIENIUK



W dziale filmowym, zbiór trzech filmów z „metafizyczno – mistycznym” zacięciem, a także „analizę geniuszu Finchera”.

W dziale historycznym, teksty o ataku na Pearl Harbor, powstaniu memów, oraz mordercy ze Szczecina.

I oczywiście, stały cykl – Małe Marki.

Milę lektury!

JANEK WYRZYKOWSKI



FOT. NATALKA WALESIENIUK

W POSZUKIWANIU PSA KOSMITY

wywiad z FRANKIEM DRAŻBĄ,

twórcą internetowej postaci - FRANKA WARZYWA

Franek Drażba – twórca internetowej postawy Franka Warzywa, aka Młodego Warzywniaka aka Małego Vitaminki - opowiedział mi, kim jest postać, którą stworzył i jakie wartości chce dzięki niej przekazać. Przybliżył mi też swoje poglądy na temat rynku sztuki i „środowiska artystycznego”. Porozmawialiśmy również o procesie twórczym, artystycznych eksperymentach, ukrytym przekazie i poszukiwaniach Psa Kosmity.

SKĄD TWOIM ZDANIEM BIERZE SIĘ POTRZEBĂ TWORZENIA?

Wiadomo, że z reguły potrzeba tworzenia bierze się z chęci komunikowania jakichś treści i skonfrontowania swojego przekazu z innymi ludźmi. Myślę jednak, że to jest bardzo indywidualne, w jakiej formie ta potrzeba u kogoś się wykształci i jak duża będzie. Ja zacząłem na poważnie tworzyć od końca liceum. Najpierw głównie malowałem. Potem poszedłem na studia, które miały inny charakter, zajmowałem cyfrowymi rzeczami, grafiką. Mimo to, tak naprawdę, zawsze marzyłem o tym, żeby śpiewać piosenki i to był mój największy cel, który dopiero ostatnio zacząłem realizować i obecnie głównie na nim się skupiam.

KIM JEST FRANEK WARZYWA? CZYM RÓŻNI SIĘ OD CIEBIE, OSOBY, KTÓRA GO STWORZYŁA?

Franek Warzywa to internetowa postać, znana przede wszystkim z promocji jedzenia warzyw i zdrowego stylu życia. Franek Warzywa nagrywa filmiki na Tik Toku, YouTube, tworzy różnego rodzaju treści, które adresuje do jak najszerzego grona odbiorców. W ostatnim czasie skupia się przede wszystkim na nagrywaniu piosenek. Utwór muzyczny jest dla niego formą, która nie ogranicza się tylko do dźwięku, bo równolegle można stworzyć sferę wizualną w formie teledysku, cały czas dobrze się bawiąc. Franek Warzywa skupia się na zabawie, chce się dobrze bawić oraz angażować ludzi wokół, by bawili się razem z nim. Najważniejsze są dla niego uśmiech na buzi i zdrowy styl życia. Sam mówi to w piosence *Nazywam się Franek*, w której przedstawia się i mówi o tym, co jest dla niego istotne. Z rana lubi zjeść pomidora, a na obiad zupę pomidorową, nie przepada natomiast za wizytą

w galerii i oglądaniem kolejnej nudnej wystawy. Nie chce oglądać obrazów powieszonych na ścianie, chce doświadczać rzeczy angażujących, ciekawych i wesołych. Takie też chce kreować sam. W skrócie więc można określić Franka Warzywa jako marzyciela, skrajnego idealistę, ale też rewolucjonistę pragnącego zmienić świat choćby w małym stopniu.



FOT. MARTYNA MODZELEWSKA

JAK WYGLĄDAŁ PROCES POWSTAWANIA FRANKA WARZYWA?

Zaczęło się od tego, że założyłem konto na Instagramie, które nazywało się @celebryci_warzywa. Wstawałem na nie animacje, w których przedstawiałem znanych ludzi jako warzywa. Geneza powstania tego profilu jest też bardzo przypadkowa, bo po prostu chciałem założyć jakiś profil na Instagramie, który będzie mieć jakiś schemat i pierwszą rzeczą, która mi przyszła do głowy, było skryżowanie Mariusza Pudzianowskiego z papryką. Zrealizowałem ten pomysł i się zaczęło. W którymś momencie naturalnie przeszło w konto, na którym zacząłem się udzielać. Nagrałem piosenkę i zacząłem wstawiać więcej animacji ze mną. Wtedy po prostu zmieniłem pierwszą część nazwy z „celebryci” na „franek”. W sumie, lubię warzywa i jem warzywa, i w pewnym sensie mnie fascynują. Różne rodzaje warzyw są. Dużo rzeczy można zrobić z warzyw. Są też bardzo smaczne. Nie chcę się stawiać tutaj w roli autorytetu i mówić, że są zdrowe – wiadomo, że są zdrowe. Franek Warzywa by oczywiście powiedział, że są zdrowe. On mówi wszystko bardziej bezpośrednio.

OPRÓCZ STWORZENIA SAMEGO FRANKA WARZYWA, ODNIOSŁEM WRAŻENIE, ŻE ZACZYNASZ TWORZYĆ PEWNE UNIwersum, W KTÓRYM POJAWIAJĄ SIĘ INNE POSTACIE, Z KTÓRYMI FRANEK WARZYWA MA JAKIEŚ RELACJE NP. DIABEŁ. PLANUJESZ ROZWIJAĆ DALEJ TO UNIwersum?

Tak, jak najbardziej, chciałem pójść w tę stronę. Chciałem tworzyć narrację między piosenkami – tak, by każda z nich pozostała oddzielna, ale też wszystkie były subtelnie połączone np. poprzez nawiązania wizualne w teledyskach. Właśnie Diabeł pierwszy raz pojawia się w *Pudelku*, następnie w intro do *Co u Franka?* rozpacza, że Franek Warzywa uciekł z piekła, a później w teledysku do *Cytrusów* pije lemoniadę i to poprawia mu humor, co pokazuje wpływ cytrusów na nastrój. Mam nadzieję, że uda mi się spleść losy Diabła i Psa Kosmity w jednym uniwersum. To byłoby ciekawe, bo geneza obu tych postaci jest bardzo przypadkowa. Gdy pisałem tekst do *Pudelka* po prostu stworzyłem postać Diabła. To nie było do końca przemyślane, pisałem tekst pod wpływem emocji. Później rozwijałem tę postać.

**O PSIE KOSMICIE OPowiADA TWOJA NAJNOWSZA PIOSENKA. JEŚLI DOBRZE JĄ INTERPRETUJĘ, TO PIOSENKA O TYM, ŻE NIE WOLNO POZWOLIĆ NA ODEBRANIE SOBIE MARZEŃ. CZY MÓGŁBYŚ OPowiedzieć COŚ WIĘCEJ O POWSTANIU I PRZEKAZIE UTWORU?**

Tak, to jest właśnie piosenka o pogoni za marzeniami. I niezgadzaniu się na to, żeby ktoś nam odbierał nasze myśli, które może nie do końca są realne, ale niosą pewną ideę. Historia istnienia tego konkretnego, w moim przypadku, poszukiwania postaci psa kosmitę jest bardzo dłuża. Od bardzo dawna interesowałem się kosmitami, zawsze fascynowało mnie życie pozaziemskie i zastanawiałem się nad tym, jak mogliby wyglądać moje spotkanie z przybyszami z innej planety. Jak mogliby wyglądać, zachowywać się. Jest taki fragment w *Ferdydurke*, w którym Józio, główny bohater, wraz z kolegą wychodzą z miasta i spotykają chłopów. Ci chłopi mówią, że nie są ludźmi tylko są psami i udają psy. Mówią – „ja nie jestem człowiekiem, więc nie zwracaj się do mnie tak, ja jestem psem, hauhau”. Pomyślałem, sobie, że to jest analogiczna pozycja, w jakiej ja byłbym wobec kosmitów. Jeżeli już bym miał z nimi kontakt, to bym powiedział „hej, to ja jestem psem, nie mam o czym z wami rozmawiać, bo jestem niższą istotą i nie mogę równego dialogu prowadzić z wami”. Takie miałem przemyślenia. To było dwa lata temu. Wtedy zaistniała dziwna sytuacja, moja koleżanka wysłała mi wiadomość, że widziała

kosmitę, że jej pies zaczął szczać na jakąś postać, gdy była z nim na wieczornym spacerze. Dołączyła zdjęcie. Na tym zdjęciu była w oddali świecąca, rozmazana postać. Kiedy przybliżyłem to zdjęcie, zdałem sobie sprawę, że ta postać ma kształt głowy psa. Zaczęło mnie to bardzo zastanawiać. Niedługo przed tym rozmyślałem, że ja jestem psem w stosunku do kosmitów, a teraz pojawia się dziwna postać w kształcie psa. Rozmyślałem – o co chodzi? – kto teraz kim jest? Pies jako metafora, niestety, odgrywa rolę podrzęennej istoty. Czy to znaczy, że i my, i kosmici jesteśmy psami, więc jesteśmy równi? Później zaczęły się pojawiać dziwne rzeczy, kolejne znaki w moim życiu świadczące właściwie o obecności tego psa kosmita. Kilka dni później inna moja koleżanka powiedziała mi, że jest taka gwiazda, co się nazywa psia gwiazda i ona to wie z bajki Franklin, tej z żółwiem. Obejrzałem tę bajkę i faktycznie babcia Franklina tam mówiła, że jest taka gwiazda i się nazywa Syriusz. Jest ona częścią gwiazdozbioru Wielkiego Psa. Potem napisałem o tym do mojego kolegi – patrz gwiazdozbiór Wielkiego Psa, czy ty wiedziałeś, że taki istnieje? A on mi wysłał zdjęcie pierwszej strony książki, którą zaczął czytać chwilę później. Na pierwszej stronie, w pierwszym zdaniu, pojawia się – gwiazda Syriusz – psia gwiazda. To był już bardzo dziwny zbieg okoliczności. Kolejny znak, że coś jest na rzeczy. Było więcej takich pozornie przypadkowych wydarzeń, więc postanowiłem, że po prostu pojedę w to miejsce pod Warszawę, gdzie moja koleżanka widziała tego kosmitę, żeby przeprowadzić jakiś wywiad i obejrzeć to miejsce. Było ono bardzo podejrzane. Stare opuszczone budynki, do których były zamknięte drzwi. Tylko jeden budynek był otwarty i tam widziałem jakieś pozostałości pofabryczne i tym podobne. Dużo osób było tam na spacerach z psami, więc pytałem różne panie, czy one coś widziały, czy coś dziwnego, z innego świata dzieje się w okolicy. Wszyscy od razu negowali jakiekolwiek moje przypuszczenia i mówili, że nic dziwnego tam się nie dzieje. W piosence jest cytat, z wypowiedzi jednej pani, ona powiedziała „Nie, nie, paranormalne, nie, nic dziwnego tu nie dzieje się”. Powiedziała też: „myślę, że to był owczarek, ten co tam poszedł” – i pokazała na jednego z psów, które były wtedy na spacerze. Druga pani, z którą rozmawiałem, też mówiła, że nic dziwnego się tam nie dzieje. „Kosmita? Ja nic nie wiem.” To było bardzo podejrzane. Ci ludzie na pewno coś ukrywali. Była mega dziwna atmosfera. Nie powróciłem już tam, chociaż planowałem, ale potem była pandemia i na jakiś czas moje poszukiwania zostały przerwane.

Później, w wakacje, w zeszłym roku zacząłem robić cykl wystąpień publicznych, w ramach którego dzieliłem się z ludźmi swoimi spostrzeżeniami, różnymi nagraniami, grafikami, które przygotowałem, obrazującymi moje przemyślenia. Miałem możliwość też zrobić takie wystąpienie w Warszawie w Zachęcie. Właśnie tam, przed Zachętą, przez tydzień prowadziłem obserwacje psów na placu, a także rozmawiałem z ludźmi. Dziwna sytuacja tam zaistniała z suczką mojego kolegi Piotrka. Ona wykopała taki krąg w trawie. To było dziwne. Gdy zapytaliśmy jej, czy jest kosmitą, to podała łapę i to jest nagrany dowód. Powiem ci jeszcze jedną rzecz, która stała się tydzień później, ale jest to trochę makabryczne. Ona wyskoczyła z balkonu, z czwartego piętra. I pobiegła do parku. Nic jej się nie stało. Najwidoczniej uznała, że to jest jakaś naturalna rzecz, że zleci z czwartego piętra i pobiegnie sobie do parku. Evidentnie psy i kosmici mają jakieś połączenie. Coś jest na rzeczy. Szukałem później jeszcze nowych znaczeń tego gwiazdozbioru i źródła więzi między psami i kosmitami. Przy najnowszej piosenecie chciałem wrócić do tego, bo to był ważny element mojego życia. Użyłem tego motywu właśnie w znaczeniu szukania, czegoś co może istnieje, może nie, ale czemu miałbym zaprzestać o tym marzyć? To przekaz tego utworu.

CZY W KAŻDYM UTWORZE STARASZ SIĘ ZAWRZEĆ TEGO RODZAJU GŁĘBSZY PRZEKAZ, W ZAKAMUFLOWANY SPOSÓB? PRZYKŁADOWO, UTWÓR CYTRUSY JEST DLA MNIE BARDZO ZAGADKOWY I NIE UDAŁO MI SIĘ DOSZUKAĆ W NIM UKRYTEJ TREŚCI.

Nie, to zależy. Cytrusy to wakacyjny numer. Temat wyszedł z inicjatywy Poli Nudy, z którą ten utwór nagrałem. Pola powiedziała, że chce zrobić piosenkę o cytrusach i na to przystałem. W sumie... ona jest o cytrusach (śmiech). Jest o zabawie i tak dalej. Ale większa część utworów ma przekaz. Zakamuflowany przekaz. Zakamuflowany to jest właśnie słowo klucz. Sposób wypowiedzi Franka Warzywa jest właśnie taki, że pod prostymi manifestami, które ukrywają rozbudowaną treść. *Pies Kosmita* jest manifestem niezgody na oddanie się szarej codzienności bez marzeń. *Szkoła* jest oczywiście krytyką systemu edukacji, tutaj nie jest to aż tak zakamuflowane. Sformułowanie „stare dziady” w kontekście nauczycieli w oczywisty sposób to prezentuje. Ale gdy rozmawiałem z jednym z moich wykładowców, on powiedział, że do niego przemawia ten utwór, bo jest w nim widoczny pewien dualizm. Tekst jest w jakimś stopniu ironiczny, ale niektóre emocje są autentyczne. Ja naprawdę lubię się uczyć, lubię moich kolegów, lubię chodzić do szkoły. Ciągnie mnie do tego, żeby uczestniczyć w tym. A ironiczne, prześmiewcze zadresowanie tekstu do „starych dziadów” jest też czysto związaną z nomenklaturą mojej uczelni, czyli Akademii Sztuk Pięknych. To już typowe określenie na naszych wykładowców.

Franek Warzywa wypowiada się prostym językiem. Forma jest bardzo prosta, ale ukryta treść, jest często bardzo przemyślana i zależy mi na tym, żeby ją przekazać. Niektóre teksty są bardziej osobiste, odnoszące się do moich myśli i problemów np. *Co u Franka?* albo *Pudelko* – które jest dość makabryczną piosenką.

WSPOMNIAŁEŚ WCZEŚNIEJ, ŻE TERAZ CHCESZ ZAJĄĆ SIĘ GŁÓWNIĘ TWORZENIEM MUZYKI. GDY TWORZYSZ JAKĄŚ PIOSENKĘ, KTÓRA CZĘŚĆ PROCESU JEST NAJBARDZIEJ PRACOCHŁONNA, A KTÓRA NAJBARDZIEJ SATYSFAKCJONUJĄCA?

Nie robię *stricto* muzyki. Obecnie stale współpracuję z jednym producentem, Młodym Buddą, razem tworzymy te piosenki i nagrywamy. Wydaje mi się, że najbardziej lubię pisać tekst. Daje mi najwięcej satysfakcji. Gdy muszę napisać piosenkę, a nie mam do tego pretekstu, to czuję, że moje teksty są sztuczne. Dopiero gdy w mojej głowie pojawia się jakiś pomysł, czasem to jest nawet jedno zdanie, jestem w stanie napisać coś, z czego będę zadowolony. Zdarza mi się też improwizować. Na przykład *Szkoła* jest w większości zaimprovizowana. Zaśpiewałem ją pod wpływem emocji, które mi towarzyszyły, bo musiałem następnego dnia iść na zajęcia. Dlatego gdy już napiszę coś, co mi się podoba, to satysfakcja jest ogromna. Pisanie tekstów jest też dla mnie najtrudniejsze, pewnie dlatego też daje mi tyle radości. Teledysk, umiem zrobić, muszę tylko poświęcić na to czas, tworzenie animacji jest to zajęcie czysto techniczne. Pisanie tekstu jest bardziej intuicyjne. Coś się tworzy, rzeźbi słowa. Ja to tak traktuje. Dużą satysfakcję też dało mi śpiewanie piosenek na żywo, to jest doświadczenie, które jest dla mnie świeże cały czas, bo grałem na razie jeden koncert.

CZY MÓGŁBYŚ OPowiedzieć COŚ WIĘCEJ O TYM KONCERcie?

Graliśmy z Młodym Buddą koncert w Chmurach. Nie wiedziałem, czego się spodziewać. Młody Buddha ma większe doświadczenie sceniczne, bo gra w różnych zespołach, więc na scenie czuje się swobodnie. Ja występowałem w różnym charakterze przed ludźmi, więc to nie było dla mnie stresujące, ale jednocześnie nie śpiewałem nigdy wcześniej swoich piosenek tak na poważnie na żywo przed ludźmi, dając pełną ekspresję sceniczną. To był pewien eksperyment, jak ludzie mnie odbiorą, czy będą się dobrze bawić, no i czy w ogóle ktoś przyjdzie... I w sumie – fajnie było. Przyszło dużo ludzi, wszyscy dobrze się bawili. Na koniec wszyscy razem śpiewaliśmy piosenkę o szkole. Zaprosiliśmy ludzi na scenę – weszło z dziesięć osób chyba. To najmniej wspominam, że śpiewaliśmy to wszyscy razem i dobrze się bawiliśmy.

TWOJE ANIMACJE. SĄ UTRZYMANE W BARDZO NIETYPOWEJ, MOŻNA POWIEDZIEĆ – NIEPOKOJĄcej – STYLISTYCZE. CZEMU WYBRAŁEŚ AKURAT TAKĄ ESTETYKĘ?

To wyszło naturalnie. Niekoniecznie potrafię operować medium, jakim jest animacja, tak by wykreować stu procentowo realistyczne rzeczy. Umiem w animację na tyle, na ile umiem. To daje czasem *creepy* efekt. Że postacie się nie ruszają do końca, albo mają jakieś dziwne proste tekstury. Ludzie komentowali, że to jest jakieś dziwne, jakieś niepokojące. Postanowiłem pójść w to bardziej. To, że niektóre postacie czasem nie mają oczu, jest celowym zabiegiem, specjalnie je usuwam. Ale na przykład teledysk do *Co u Franka?* ma bardzo prosty *vibe* i to wynika z tego, że renderowałem to na moim komputerze, musiałem użyć jak najsłabszego silnika do renderowania. Dlatego ma estetykę starej gry komputerowej. Ten styl powstał trochę dlatego, że korzystając z moich ograniczonych zasobów czasu i umiejętności, chciałem stworzyć coś, co będzie miało klimat i będzie wystarczająco efektowne, zrobi wrażenie. A łatwo jest wywarzyć wrażenie wzbudzając niepokój u ludzi.



TAK, TO NA PEWNO BARDZO PRZYKUWA UWAGĘ. ALE INNE RZECZY, KTÓRE TWORZYSZ, KTÓRE NIE SĄ ANIMACJAMI, TEŻ DAJĄ TAKĄ ENERGIĘ. NA PRZYKŁAD TELEDYSK DO PIOSENKI PIETRUSZKA 100%.

No, tam broń mam... (śmiech) Mnie kręci w sumie coś takiego. Używanie rzeczy, które są sprzeczne. Śpiewam o tym, że lubię warzywa, ale nie do końca to idzie w parze z komunikatem wizualnym. Melodia jest wesoła, wypowiadam się niby infantylnie, ale – zwłaszcza w starszych piosenkach – jest nad wyraz

dużo wulgaryzmów, które zaburzają ten wesoły klimat. To tworzy dysonans, który powoduje niepokój. Takie uczucie, że coś jest nie tak jak być powinno. Ludzie nie wiedzą, czy to jest na serio. Ja nigdzie jako Franek Warzywa nie wypowiadam się bezpośrednio, kim jestem. Jedyny komunikat, jaki płynie ode mnie jako tej postaci to to, że jem warzywa, bo są smaczne i zdrowe. Nie wchodzę w narrację typowego influencera, który mówi o swoim życiu i o tym, co chce sprzedać. Jedyny komunikat Franka Warzywa jest taki, że je warzywa. Nawet to, że jedzenie warzyw jest jego cechą osobowości jest niepokojące



MAM JESZCZE PYTANIE DO CIEBIE, KTÓRE NIE DOTYCZY POSTACI, JAKĄ JEST FRANEK WARZYWA. WIDZIALEM, ŻE WSPÓŁTWORZYŁEŚ INSTALACJĘ NA ZAPROSZENIE EXTINCTION REBELLION. CZY MÓGŁBYŚ OPowiedzieć COŚ WIĘCEJ O TYM PROJEKcie?

Robiłem to wspólnie z Martyną Modzelewską, czyli artystką, z którą w duecie tworzymy różnego rodzaju prace. Extinction Rebellion zgłosiło się do nas po zobaczeniu pracy, którą stworzyliśmy na potrzeby zupełnie innego wydarzenia. Tamta praca eksplorowała użycie lodu jako medium i polegała na tym, że zamroziliśmy piłkę do koszykówki, położyliśmy ją na obręczy kosza i czekaliśmy, aż lód się roztopi i piłka spadnie. Dziewczyny z Extinction Rebellion uznały, że to jest ciekawy sposób obrazowania, który one mogą wykorzystać, by stworzyć instalację ilustrującą wydarzenie, jakim jest zmiana klimatu. Proces roztapiania się lodu jest prostą metaforą, która może zwrócić uwagę ludzi. Gdy dostaliśmy propozycję, to mieliśmy dylemat, bo oryginalnie praca nie była związana z ekologią ani z klimatem, uznaliśmy, że to może być jakichś rodzaj hipokryzji, bo sama praca nie jest ekologiczna w swoim istnieniu – roztapianie lodu. Ale w dialogu uznaliśmy, że to jest opcja przekształcenia pracy, żeby coś przekazywała. Stworzyliśmy stół z blatem z lodu, na którym znajdowała się zastawa – herbatka, ciastka, filiżanki – jak u babci. Sielankowy obrazek. Blat w ciągu dnia się roztapiał. Na końcu wszystko spadło i się potknęło. Dostrzegam wartość tego, że to zrobiliśmy. Nasze motywacje były takie, że to nie jest obiekt sztuki, tylko rzecz użytkowa, która obrazuje ważny problem. Potraktowaliśmy to jako ilustrację problemu, Martyna nazywa to swego rodzaju pomocą naukową. Do takich faktów naukowych – ilustracja, która trafia do wrażliwości ludzi. Coś, co zwróci uwagę w chwytny sposób na zmiany klimatu. Sprawdziło się, ludzie zwracali uwagę na żywo na instalację, a później w Internecie, na Facebooku i Instagramie, dużo ludzi ją udostępniało. Jestem zadowolony z tego, że to, co zrobiliśmy początkowo jako jakiś nasz kaprys i eksperyment artystyczny, przerodziło się w coś z ważnym przekazem.

NA KONIEC, JAKIE MASZ PLANY NA PRZYSZŁOŚĆ JAKO FRANEK WARZYWA, A JAKIE JAKO TY, FRANEK DRAŻBA?

Jako Franek Warzywa chcę grać jak najwięcej koncertów, bo bardzo mi się to spodobało. Chcę tworzyć jak najwięcej muzyki. Chcę śpiewać piosenki.

A jako ja – chcę stawać się coraz bardziej Frankiem Warzywa.

TEGO CI ŻYCZĘ! DZIĘKUJĘ ZA ROZMOWĘ!

JANEK WARZYWOWSKI

MATA PRZEJMUJE MAKĘ

Myśląc o tym, jak zacząć swój tekst, biłam się z myślami, czy przedstawienie artysty, jakim jest Mata, nie będzie zbyt oczywiste. Ciężko wskazać palcem osobę, o której uszy nigdy nie obiły się najbardziej wychwytywany pseudonim artystyczny tego roku. Było o nim głośno nie tylko w świecie muzyki. Jest wulkanem pomysłów (co w wywiadzie w numerze lipiec/sierpień 2021 zdradziła nam Magda Dubrawska) i to właśnie kolejka do jego merchu na październikowym koncercie przypominała tę z Openera 2019 roku, kiedy to ubrania Travisa Scotta zawitały na stoisko.

Zaledwie tydzień po solowym koncercie na Lotnisku Bemowo, gdzie pod sceną zebrało się 40 tysięcy ludzi, Mata nie zniknął z social mediów i oczu swoich fanów. Wręcz przeciwnie. Podjął jedną z najbardziej niespodziewanej współpracy w całym roku. „Mata przejmuje Maka”. W połowie października do fastfoodowej restauracji trafił limitowany zestaw podpisany pseudonimem rapera. W zestawie Maty znalazła się klasyczna kanapka McDonaldsa w wersji potrójnego cheeseburgera, średnie frytki i Matczak Latte, czyli nic innego niż napój inspirowany piosenką *Papuga*. O podpisaniu umowy zaczęło być głośno tuż po tym jak na story Maty pojawiła się krótka animacja z logo McDonald's. Twitter opanowała zdjęcia kartonowego pudełka z grafiką przybliżoną do nowo wydanej płyty z nuggetsami, które później okazały się fejkem. Całemu zestawowi towarzyszyła kolorowa reklama i naklejki. Pan prezes postanowił wypuścić również limitowany merch ubrań, który poprzez dropy ogłoszane na Instagramie McDonaldsa fani mogli zgarnąć, odpowiadając na banalne pytanie. Internet oszalał, jedni byli mile zaskoczeni, inni ostro krytykowali kampanię. Tik tok, Twitter i Instagram zamieniły się w miejsce skupiające krytyków Maty.

Większość osób wyrażała się o zestawie w bardzo pozytywny sposób. Pojawiły się też głosy krytyki. Brak logotypów pokazanych w reklamach na opakowaniach, zwykły kubek na napój i biała papierowa torbka. Czy zestaw został wymyślony dzień przed jego premierą? Nie bał się powiedzieć wprost, że Mata w ich oczach stał się kolorową reklamą dla dzieci i stając się twarzą dla śmieciowego jedzenia, jego kariera dobiegła właśnie końca. Ta największa ilość negatywnych komentarzy tyczyła się matchy. Jej smak przypominał smak wody z akwarium lub wodorostów, a klienci skarżyli się na to, że sami musieliby wymieszać słomką proszek wlany do zimnego mleka. Internet, aż pękał w szwach od filmów dzieciaków wylewających napój na chodniki, do koszy na śmieci czy nawet toalet w środku lokalu restauracji. McDonald's, bacznie obserwując opinie krażące w Internecie, postanowił zrekompensować swój błąd i zaoferował kupno zestawu z Colą oraz większymi frytkami, o czym poinformował na story artysta.

Wśród negatywnych opinii wyróżniała się ta Maji Staśko. Aktywistka i dziennikarka, która na swoim kanale na YouTubie nagrała filmik poświęcony współpracy Maty z Makiem. Staśko negatywnie ocenia cały zestaw, mimo że jako weganka nie może go spróbować. Mata jako artysta słuchany przeważnie przez dzieci, jak i młodzież, przez swoją współpracę zachęca ich do zmiany nawyków żywieniowych, przez co doprowadza do otyłości oraz chorób. Wprost mówi, że napój nie nadaje się do picia i jest do wylania, rzuca kanapką o ziemię z komentarzem: „to też ktoś zje”. W jej filmie padają nawiązania do kapitalizmu i konsumpcjonizmu, które według niej idealnie opisują całą współpracę. Wspomina o piosenkach *Patointeligencja* i *Patoreakcja*, w której Mata potępia hipokryzję, jednak teraz to on sam czerpie z niej niemałe korzyści i manipuluje młodymi ludźmi

Mimo dużego zainteresowania zestaw spróbowałam kilka dni po jego premierze. Stojąc w kolejce po odebranie zamówienia, można było odczuć atmosferę zbliżoną do tej związaną z dropem limitowanych butów współpracy Nike'a z Matą niż zwykłej kanapki z potrójnym mięsem. Mocno w pamięć zapadł mi widok dwóch chłopaków, którzy patrząc się w ekran zapomnieli, jak mrugać. Inni wymieniały się numerkami wydrukowanymi na paragonie po to, aby znaleźć na nim numer „33” kojarzący się z twórczością Maty. Reszta z nich robiła zdjęcia jedzenia oraz nagrywała reakcję „na żywo” na świeży zakup, aby jak najszybciej móc wrzucić go do Internetu. Naklejki dodawane do zestawu również wystawiane były na różnych grupach o tematyce muzycznej, a ich posiadacze żądali od kupujących cen sięgających nawet stu złotych. Prawdziwe wariactwo!

W przeddzień zakończenia akcji współpracy Maty z Makiem, Michał postanowił ponownie zaskoczyć swoich fanów. Na Instagram jego licealnych kolegów: Szczepana, Wygusia i Tadeo pojawiło się zdjęcie neonu McDonaldsa znajdującego się przy ulicy Świętokrzyskiej w Warszawie. Lokal na Świętokrzyskiej wypełnił się młodymi fanami Maty, którzy mogli zbić piątkę, dostać autograf na rozdawanych przez niego płytach i po raz ostatni zjeść limitowany zestaw, który już nie powróci do restauracji. Wydarzenie było miłym zaskoczeniem dla wszystkich fanów, którzy razem z Michałem mogli świętować ostatni dzień jego świetności jako prezesa fastfoodu.

Ciążko uwierzyć, że zamieszanie w Internecie, jakie wywołał Mata, dotyczyło wyłącznie jedzenia podpisanego pseudonimem polskiego artysty, idola nastolatków. To przerażające jak wiele możemy zrobić, będąc pod wpływem zwiększenia się z dnia na dzień trendów i działań popieranych przez naszych rówieśników. Stajemy się zaślepieni świetnością artysty i podświadomie deklarujemy wsparcie w jakiekolwiek wykonanej przez niego czynności na tle marketingowym. Gdybyśmy nie szli za trendami mielibyśmy przekonanie, że coś nas omija, a nasi znajomi uznaliby, że należymy do gorszego sortu. Stało się to nierozerlaczonym elementem nastrojnego życia, szczególnie generacji Z. Nie oceniamy nas za to, jacy jesteśmy naprawdę, a bardziej na podstawie zjedzenia najnowszego zestawu w Maku i popularnych piosenek na naszych playlistach. Musimy biec za nowościami, bo inaczej zostaną one w tyle, a z nimi i my na końcu szafety. Jeśli pałeczka, którą musimy przekazać jako nowy trend/informację, wypadnie nam z ręki i nie przekażemy jej zawodnikowi, który stoi tuż przed nami, to... Bo przecież chcesz wygrać ten wyścig i podać ją dalej, prawda?

DZIEN DOBRY, JAZ PIZZA



Jedenasty października godzina 18:30 wyjeżdżam na ulicę czarną Yamahą Neos 125. Gnam o zmierzchu, w blasku latarni pod mój pierwszy adres dostawy.

Drzwi otwiera mi zmęczony życiem dekadent. Za jego plecami widzę bałagan, porozrzucane książki i papiery, w końcu natrafiam na źródło mocnego chmielowego zapachu wydobywającego się z mieszkania – to skryzna, a w niej około 45 opróżnionych butelek Perły Export.

„Czterdzieści sześć złotych się należy. Kartą czy gotówką?” pytam klienta. Ten wyciąga portfel i pojawia się problem. Nie ma w portfelu nic oprócz 5 banknotów dwustuzłotowych. Czuję silne zdziwienie i jeszcze silniejsze natchnienie. Mężczyzna przypomina mi Raskolnikowa. To tłumaczyłoby zarówno jego zły stan psychofizyczny, jak i duże ilości posiadanej gotówki. Mężczyzna zostawia mnie przy drzwiach, a sam zaczyna szukać jakiegoś „drobnicy”. Nie ma! Z opresji ratuje go tajemnicza dłoń pożyczająca mu potrzebne pięćdziesiąt złotych.

Kolejnym dziwnym miejscem, do którego dostarczałem pizzę, był klub o tajemniczej nazwie Oaza. Popularny szczególnie ze względu na swój modernistyczny i postindustrialny klimat uzyskany dzięki wykorzystaniu przy wystroju stalowych pionowych rur. Gdy zaparkowałem skuter, moim oczom ukazał się dwumetrowy gigant, który najnormalniej na świecie podziękował za pizzę i wrócił do budynku. Ochrona takiego przybytku na pewno nie należy do najłatwiejszych, a jeśc przecież trzeba i to nie byle co, a prawdziwą pizzę putanessę.

Godzina 21:37. Pukam do drzwi mieszkania nr 348. Drzwi otwiera mi zmęczona blondynka w szlafroku. Zadając standardowe pytanie o doliczenie napiwku, dostaję obuchem między oczy. Kobieta otworzyła się przede mną i załamującym się głosem wyznaje, że pracuje tylko w weekendy, do tego samotnie wychowuje dwójkę małych dzieci, natomiast pizzę zamówiła tylko dlatego, że zepsuł jej się piekarnik. Wstrząśnięty odpowiadam, że to przykre, w windzie dochodzę do wniosku, że to jej należy się napiwek.

Okazuje się, że dostarczanie pizzy jest lekcją życia, pracę, w której poznamy jasne i ciemne strony ludzkiej egzystencji. Pozwala odkryć cechy na co dzień ukryte lub schowane pod warstwami masek. Ta krótka interakcja jest szczerą i nie wymuszona, ukazuje to jak naprawdę się czujemy. Paradoksalnie to dostawca powinien zachować czujność, bo nigdy nie wie, na kogo trafi...

Parę dostaw później trafił mi się adres na zamkniętym strzeżonym osiedlu typu labirynt. Wybieram numer w domofonie, drzwi otwierają się praktycznie od razu bez popularnych pytań „Halo?!” lub „Kto tam?!” . Za drzwiami kobieta po trzydziestce w granatowym welurowym szlafroku. Podobna sytuacja powtórzyła się następnego dnia, kiedy dostarczałem pizzę młodej dziewczynie ubranej w piżamę z ręcznikiem owiniętym wokół mokrych włosów i z maseczką pielęgnacyjną na twarzy. Sytuacji, w których za drzwiami stali ludzie w samych slipach, peniuarach, piżamkach – nie policzę. Dla mnie to oznaka ogromnego i niezrozumiałego zaufania dla człowieka, który tylko przywiózł pizzę. Ludzie bardzo poważnie traktują swoją prywatność i raczej nie lubią, gdy ktoś sterczy pod ich drzwiami lub widzi ich w takiej nie wyjściowej aparycji. Okazuje się, że upieczonego placek wystarczy, żeby ten dystans i przeszorność zniszczyć i zapomnieć o tak zwanym judasz, do którego mało kto zagląda przed otwarciem zamka. Przemienia ich w mile i sympatyczne istoty, które „witają Pana serdecznie”, „dziękuję bardzo” za pizzę, a ewentualny brak tipa tłumaczą osobistym ubóstwem i „najmocniej przepraszają”. W perspektywie niedalekiej wyżerki ludzie miękną i chętnie uchylają rąbek swojego prywatnego najbardziej intymnego świata. To pocieszające i zastanawiające jednocześnie zjawisko – nie wiem, czy świadczy o zaufaniu do ludzi pracy/marki, czy może pobudzone ślinianki i działanie podwzgórza mózgowego przyjmiewają nasz instynkt samozachowawczy. Fenomen, o którym mówię, można spułtować takim eksperimentem myślowym:

Komu częściej i pewniej otworzyłybyś drzwi? Dostawcy pizzy, której nie zamawiałeś, czy kapłanowi chodzącemu z katechezą?

Mimo, że nie jestem antyklerykałem i chętnie „porozmawiałbym o Bogu” z kimś kompetentnym, dostawcy jedzenia otworzyliby te drzwi szybciej. Dlaczego? Na pierwszy plan wysuwa się powód ekonomiczny – rozmowa z dostawcą będzie krótsza. W najlepszym wypadku skończy się darmowym jedzeniem. Po drugie, z dostawcą pizzy potrafię się utożsamić, też kiedyś tak pracowałem i nie było to wcale łatwe. Wreszcie muszę jednak przyznać, że bardziej ufam w dobre intencje dostawcy pizzy, który jest w pracy. W czasach kapitalizmu nikt nie ma czasu na bezcelowe włóczenie się po mieszkaniach, celem księdza musi być więc „coś więcej” (zapewne jakieś pieniądze lub inna forma wymagająca naszego zaangażowania). Jeszcze gorzej, jeśli nic ode mnie nie chce i zadowoli go „tylko krótka rozmowa”. To ma już wyraźnie sekciarski *vibe*. Duchowny wydaje się wyborem niepewnym i potencjalnie nieprzyjemnym.

Zasadnicze pytanie – czego dowodzi wynik tego eksperimentu?

NEOLIBERALNE NIEWOLNICTWO

Zostawiając swoje CV w pizzerii, nie przypuszczałem, że może stać się to początkiem pogłębionych rozważań. Wyobrażałem sobie tę pracę raczej jako przyjemne zwiedzanie okolicy skuterem i zajadanie się pizzą w przerwach. O ile skuter był nieunikniony, to przerwy okazały się wypełnione rozmowami z innymi pracownikami. Oprócz menadżera rzadko bywającego na miejscu był jedynym Polakiem w pizzerii, reszta pracowników to Ukraińcy, Białorusini i Hinduscy.

Chętnie opowiadali mi o sobie i swojej sytuacji prawno-finansowej. To historie, których spodziewasz się usłyszeć od imigrantów. Dotyczą głównie problemów zlego traktowania przez pracodawców oraz przymusem opuszczenia swojego kraju. Było to dla mnie zetknięcie z migracją, o której miałem dotychczas tylko teoretyczne, uproszczone pojęcie, teraz widzę go w zupełnie innym sposób, dużo bardziej empatycznym. Z jakimi trudnościami muszą mierzyć się obcokrajowcy?

W zdecydowanej większości to imigranci nieznający języka polskiego, tutejszego prawa i ludzi spoza swojej mniejszości narodowej. Przymus ekonomiczny zmusza ich do zatrudnienia się w niskopłatnej i pozornie mało wymagającej pracy. Wożenie ciężkiej i sztywnej torby na plecach pośród spalin zatrzuwających miasto jest dalekie od „ruchu na świeżym powietrzu”, jak często opisywana jest ta praca w przekazach marketingowych. Płaca nie jest stała zależy od ilości zamówień i dostępności dostawców – oficjalnie mówi się o minimalnych 20 złotych za godzinę, w praktyce po odseparowaniu informacji z fake kont i artykułów sponsorowanych ta kwota jest zapewne mniejsza. Dodatkowo te pieniądze to wszystko, co pracownicy dostają od firmy. Pomieszczenie socjalne (służące do odpoczynku), posiłki pracownicze, a nawet toaleta to normy XXI wieku, których w tym zawodzie nie uświadczysz. To praca maksymalnie不稳定na i prekarna, wymagająca nieustannej adaptacji do wszechmogącego algorytmu, który *de facto* decyduje o tym, czy godnie dziś zarobisz. Brak szefa, z którym możesz negocjować swoją stawkę, który dokonywałby evaluacji pracownika, a nawet awansował cię na wyższe stanowisko lub pozwolił wziąć kilkudniowe wolne ze względu na nagły wypadek. Dla komputera przestajesz istnieć wtedy, gdy odłączysz się od sieci. Pod hasłami „elastycznych godzin” i „bycia swoim szefem” ukrywa się praca w samotności z dala od innych pracowników współtworzących firmę, brak jakiegokolwiek wpływu na jej kształt i funkcjonowanie, a co najgorsze – niemożność organizowania się. Pracownik takiej aplikacji bez wykształcenia nie ma alternatywy, zostaje przejście do konkurencji lub podjęcie ogromnego wysiłku i ryzyka znalezienia nowej pracy, gdzie jego prawa będą respektowane. Może paść zarzut, że przecież nikomu nie dzieje się krzywdą, mają za co przeżyć, a swoją ciężką pracą mają szansę awansować społecznie. Lecz czy to jest standard życia w demokratycznym i wspólnotowym kraju? Kto chciałby wieść życie, polegające na wykonywaniu monotonnej i ciężkiej pracy, zadowalając się skromnym przeżyciem i złudną nadzieję przyszłego awansu. Życie z dala od rodzin i przyjaciół, bez osoby partnerskiej na obrzeżu wspólnoty, od której nie możesz spodziewać się niczego więcej ponad ciepłe słowo i drobny napiwek – nikt. Bez systemowej pomocy i walki o przestrzeganie ich praw ci ludzie pozostaną w tej neoliberalnej formie niewolnictwa na zawsze. Nie będą mogli założyć rodzin, zasymilować się z Polakami, a w konsekwencji zostaną na granicy. Granicy dzielącej ich od normalnego życia, które wiedzie każdy z nas – uprzywilejowanych obywateli.

Wszelkie uwagi, refleksje i pochlebstwą proszę wysyłać na adres: michałw186@icloud.com

MICHAŁ WYSZYŃSKI

WSPÓŁODCZUWANIE Z PLANETA

WRAŻLIWOŚĆ

Każdy człowiek skrywa ją gdzieś w sobie. Wystarczy namiastka, nierzadko okazywana w taki sposób, by nikt jej nie zauważył. Nawet mała jej ilość pozwala otworzyć oczy i uważniej przyjrzeć się rzeczywistemu światu. Otoczenie, środowisko się zmienia, niby od zawsze, bo przecież zmiana jest wydarzeniem naturalnym i potrzebnym, a jednak coś jest nie tak. To coś z każdym jesiennym ochłodzeniem dusi coraz bardziej, a zimą powoduje teskne spojrzenia w niebo wywołane wspomnieniem zabawy na śniegu. Pojawia się ciekawość i razem z nią przejęcie. Do twoich rąk trafiają różnego rodzaju artykuły, raporty, badania. Intensywny napływ informacji i ich charakter, przygnata umysł, który dopiero co „zszedł na ziemię”.

WYBÓR

Na ziemi żyje 7 miliardów ludzi i każdy z nich, niezależnie od tego, jaką pozycję zajmuje, jak jest bogaty i czy czuje się wygrany, czy nie – jest zależny od planety Ziemi. Może mieć ogromne zasoby, wiedzę o świecie, polityce i finansach, a często jednak umyka mu ta jedna ważna informacja. Podczas gdy dla jednej osoby pozostaje obojętne to, co dzieje się obecnie ze środowiskiem lub odgradza się ona od wieści ze świata nauki grubym murem (co często jest ucieczką dla własnego bezpieczeństwa), druga osoba nie tylko przyjmuje do wiadomości, fakt, że człowiek przyczynił się do drastycznego tempa zmiany klimatu, ale i odczuje to w ciele i myślach. W takiej sytuacji pojawiają się tylko dwa wyjścia: uciekaj albo walcz.

Ucieczka łączy się z wyparciem i zaprzeczeniem globalnemu ociepleniu (można również nazwać to zjawiskiem denializmem klimatycznym), czasem na tyle absurdalnym, że zamienia się w bezpodstawny bojkot wymierzony w stronę naukowców. Ludzie zamknęci w komfortowej bańce, żyją swobodnie, żeby nie powiedzieć beztrosko, jak dzieci ciesząc się niewiedzą, a ci, którzy tę bańkę stworzyli, cieszą się władzą nad nimi i mocą, dzięki której zaciemniają rzeczywistość. A co, jeżeli z dnia na dzień ci nieświadomi ludzie zostaną postawieni do walki o wodę? Co wtedy powiedzą?

BEZSILNOŚĆ

W szale informacji, ogromnej potrzebie naprawy tego, co zniszczone, człowiek zatrąca się w myślach i czarnych wizjach przeszłości, a tuż obok, siedzi nieugięty sąsiad, który pali plastikiem w piecu, zatruwając całą ulicę. Bierność otoczenia wpływa na tych, którzy chcą działać. Zastanawiają się:

Po co mam robić cokolwiek, skoro i tak moje starania są na nic? Jako pojedyncza osoba nie mam szans, by zrobić coś, co będzie miało długotrwałe znaczenie dla obecnej sytuacji klimatycznej?

Stała ekspozycja na nienajlepsze wieści. Brak przestrzeni i energii, by sprostać własnym oczekiwaniom, gdy chodzi o ratowanie świata oraz sama świadomość tego, co dzieje się NAPRAWDĘ potrafi rozbić nawet pozornie najtrwalszą osobę. Frustracja miesza się z uczuciem pustki i beznadziei. Nasilają się wspomniane już obawy związane z nadchodzącej katastrofą klimatyczną. Siły jest coraz mniej, a obszarów potrzebujących poprawy coraz więcej.

DEPRESJA KLIMATYCZNA

Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne opublikowało w 2017 roku raport dotyczący wpływu zmian klimatycznych na zdrowie psychiczne człowieka. Opisano tam m.in. zjawisko chronicznego lęku związanego z pogarszającą się sytuacją ekologiczną na świecie.

Zaburzenia i cierpienie spowodowane świadomością skutków katastrofy klimatycznej jest już uznawane za powszechnie. Dotyka ono najczęściej osób młodych, które, jak wykazują badania, dużo bardziej niż starsze pokolenia interesują się obecnym kryzysem.

Depresja klimatyczna jako zjawisko stosunkowo nowe, nie jest jeszcze dokładnie przebadana. Nie zmienia to faktu, że problem istnieje i nie należy go bagaterezować. Jej objawami są m.in.: bezsenność, stany lękowe zaburzenia pamięci, problemy z koncentracją, ataki paniki, myśli samobójcze i samobójstwa.



CO MOŻE POMÓC I POMAGA?

Roger Hallam, aktywista ekologiczny, współtwórca i jeden z liderów ruchu Extinction Rebellion, w wywiadzie dla BBC News powiedział:

Sytuacja (z katastrofą klimatyczną) wygląda tak, jakbyś poszedł do lekarza i powiedziałby ci, że masz raka. Jeżeli będziesz traktował siebie tak samo jak dotychczas, na pewno umrzesz. Możesz też przynajmniej spróbować coś zmienić, ale wciąż jesteś narażony na śmierć.

O ile sam przekaz słów jest dość pesymistyczny, może stanowić świeatełko w tunelu dla osoby doświadczającej pogorszenia stanu zdrowia psychicznego związanego ze zmianami klimatu. Cytat wskazuje, że działanie ma ogromną moc w walce z depresją i lękiem klimatycznym.

Osoby, które podejmują próbę działania i angażują się w nią grupowo, często mają większą szansę na lepsze funkcjonowanie z posiadaną wiedzą.

Działać można na przeróżne sposoby, zostając aktywistą w ruchu takim jak Extinction Rebellion, angażować się w bezprzemocowe akcje bezpośrednie, które najczęściej polegają na nieposłużeniu się obywatelem. Można też łagodniej, lokalnie zmobilizować grupę znajomych osób i wprowadzić w swojej okolicy działania przyjazne środowisku takie jak sadzenie drzew czy zbieranie śmieci. Można również podpisywać petycje, których celem są zmiany w obecnym systemie, samemu starać się żyć ekologicznie, uważać na zużycie plastiku oraz stosować się do zasad zero waste. To, co jednak najważniejsze, można albo nawet trzeba rozmawiać. Komunikować potrzebę zmian.

Jednostka samotnie nie może zatrzymać katastrofy klimatycznej, ale sytuacja nabiera innego znaczenia, gdy tych jednostek są tysiące, a nawet miliony. Wspólna mobilizacja sprawia, że szanse na poprawę są znacznie większe, bo to, co liczy się najbardziej w walce o lepsze jutro dla nas i naszych bliskich, to właśnie wspólne działania na dużą skalę.

Będąc w miejscowościach, w których znajdują się osoby o podobnych uczuciach, celach i marzeniach, samotność zmniejsza się i możesz tylko zyskać: przyjaciół, wsparcie, poczucie zrozumienia i spokoju.

POMOC MOŻESZ UZYSKAĆ, DZWONIĄC POD BEZPŁATNE NUMERY:

116 111 – Telefon zaufania dla dzieci i młodzieży

116 123 – Telefon wsparcia emocjonalnego dla dorosłych

22 484 88 04 – Telefon Zaufania Młodych

22 484 88 01 – Antydepresyjny telefon zaufania

800 121 212 – Dziecięcy Telefon Zaufania Rzecznika Praw Dziecka

oraz wchodząc na stronę www.zjwr.pl, na której masz możliwość znalezienia darmowego wsparcia psychologicznego.

Zmiany klimatu są naturalnym procesem występującym na naszej planecie od samego jej powstania, czyli od ok. 4,6 miliarda lat. Klimat kształtuje takie czynniki jak: aktywność Słońca, stężenie aerozoli i gazów cieplarnianych w atmosferze czy powierzchnia pokrywy śnieżno-lodowej. Przykładowo, wieki IX-XIII były okresem „średniowiecznego ocieplenia klimatu”, a ówczesne warunki klimatyczne umożliwiły Wikingom zasiedlenie Grenlandii. Z kolei wieki XV-XVIII to czas „małej epoki lodowcowej”, podczas której blisko brzegu Bałtyku budowano sezonowe karczmy. Jak wynika z badań naukowych, między rokiem 1000 a 1600 temperatura zmieniała się średnio o ~0,5°C.

Te różnice klimatyczne kształtoły się przez stulecia, a za ich przyczynę uważa się zmiany aktywności słonecznej oraz wulkanicznej i zmiany cyrkulacji oceanicznej. Jeżeli jednak zmiany klimatu miały miejsce na Ziemi zawsze, dlaczego obecne ocieplanie się planety postrzegane jest jako zagrożenie?

Zmiany klimatu, które miały miejsce w przeszłości, następowały w znacznie dłuższym czasie i były powodowane czynnikami naturalnymi. Obecnie jednak mówimy o szybko postępującej, antropogenicznej zmianie klimatu, czyli takiej, którą wywołał człowiek. Środowisko naukowe jest w tej kwestii jednogłośne: 99% prac naukowych dotyczących zmiany klimatu podaje, że to człowiek odpowiada za globalne ocieplenie i potwierdza to ostatni, sierpniowy raport Miedzynarodowego Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC), zwany raportem ostatniej szansy.

REGENERACJA

W ciężkich stanach pomocna będzie również regeneracja i zmniejszenie ilości informacji.

Nie trzeba robić tego całkowicie, od razu i zdecydowanie. Jeżeli sytuacja cię przytłacza, ale nie chcesz całkowicie się odciąć, zmniejsz ilość przyjmowanych bodźców w postaci faktów dotyczących kryzysu klimatycznego. Zamiast codziennej dawki wiadomości, zarezerwuj na nie konkretne dni w tygodniu i daj sobie czas, aby je przemyśleć i przepracować.

Zdarza się jednak, że to nie wystarcza i pojawia się potrzeba solidnego odpoczynku od działania i pełnego zaangażowania w dany temat. W takiej sytuacji zrób sobie przerwę. Nie oznacza to, że się wycofujesz, poddajesz czy ignorujesz problem.

Regeneracja ma znaczenie i przynosi ulgę. Dzięki niej możesz działać więcej i bardziej efektywnie. Jej czas zależy wyłącznie od ciebie i mimo pozornego braku czasu w kryzysie klimatycznym czas, który poświęcasz sobie samemu, pomaga nie tylko tobie, ale również wyższej idei.

RZECZ BARDZO WAŻNA

Tak jak samopomoc jest bardzo ważna, tak samo ważne jest, aby pamiętać, że są chwile, w których człowiek nie jest w stanie pomóc sobie sam w pełni. Warto o tę pomoc prosić, zgłosić się do psychologa lub psychiatry, zależnie od tego, co na daną chwilę jest potrzebne. Dobrym wyjściem jest również szczerza rozmowa z bliskimi osobami.

TEKST I ILUSTRACJA: MAJA PACIEJEWSKA

POWODY PRZEJŚCIA NA WEGETARIANIZM I WEGANIZM

Jest wiele powodów, dla których ludzie przechodzą na dietę roślinną. Niektórzy zmagają się z różnymi chorobami, dla innych ważne są względy ideowe. Czy mięso jest naprawdę aż tak niezdrowe? Czy da się uniknąć chorób, rezygnując ze złych nawyków? Niektórzy zmieniają swój sposób odżywiania, ponieważ wegetarianizm czyeganizm to teraz bardzo rozpowszechniona dieta. Ale czy są to jedyne powody, dla których ludzie przechodzą na jedzenie wyłącznie pokarmów roślinnych?

ZDROWIE

Pierwszą przyczyną mającą wpływ na zmianę diety jest zdrowie. Prace badawcze udowodniły związek powstawania nowotworów z jedzeniem mięsa. Organizacja WHO zaliczyła przetworzone mięso do produktów rakotwórczych grupy pierwszej (zaliczają się do niego m.in.: papierosy, azbest i pluton). Czerwone mięso jest kwalifikowane do grupy drugiej. Według 800 badań prowadzonych w 10 krajach jedna porcja mięsa dziennie zwiększa ryzyko raka okrężnicy czy odbytu o 18%. W Stanach Zjednoczonych co czwarty obywateł umiera z powodu choroby nowotworowej, a 75% osób dorosłych posiada nadwagę lub jest otyła.

Innymi chorobami, których przyczyną może być sposób odżywiania i tryb życia są: artretyzm, cukrzyca, choroby serca, demencja, otyłość, zatkane tątnice, podwyższone ciśnienie, powstawanie blaszki w żyłach i wiele innych. Lekarze leczą już chorych pacjentów, o wiele lepiej jest zapobiegać powstawaniu tych chorób. A co jeżeli temat zdrowego odżywiania byłby nauczany i rozpowszechniany już w dzieciństwie? Według dra Neala Barnarda cukrzyca nie jest spowodowana dietą bogatą w węglowodany czy cukier, a dietą, która powoduje otłuszczanie krwi, czyli dietą opartą na mięsie.

Według badaczy z Harvardu jedna porcja mięsa dziennie zwiększa ryzyko cukrzycy o 51%. Naturalny cukier z pozywienia nie może dostać się do odpowiednich komórek, ponieważ komórki tłuszczone obudowują się kawałkami tłuszcza. Same węglowodany spożywane w odpowiedniej ilości nie powodują otyłości, ponieważ przechowujemy je w glikogenie lub spalamy jako kalorie. Dla porównania tłuszcze idzie wprost do komórek tłuszczych. Kiedy jemy bakterie zawarte w martwym mięsie, w naszym ciele powstaje stan zapalny paralizujący tątnice, które sztywnieją. Prędkość produkcji mięsa jest niezwykle duża. Przez to zwierzęta muszą żyć w ekstremalnych warunkach, wśród swoich odchodów.

Badania mówią o tym, że 88% kotletów schabowych, 90% mielonej wołowiny i 95% piersi kurczaka miało w sobie bakterie kałowe. Weganie proponują inną dietę. Unikają wszelkich produktów odzwierzęcych. Jajka są nasycone cholesterollem, a pozostałe w naszym organizmie w krwiobiegu, powodują odłuszczenie krwinek czerwonych, gęstnienie i lepkość krwi. Co z jedzeniem ryb? Zwierzęta te mogą mieć dużą ilość pestycydów i herbicydów, które mają czynniki rakotwórcze.

Ryby również pochłaniają wiele rtęci, która jest bardzo niebezpieczna dla zdrowia człowieka. Oczywiście ryby hodowlane nie mają w sobie rtęci, natomiast hodowcy, aby utrzymać zbiorniki w dobrych warunkach i zapobiec infekcjom, muszą podawać im specjalne antybiotyki, które wchłaniamy wraz ze spożywaniem zwierzęcia wodnego. Nabiał zwiększa ryzyko zachorowania na raka prostaty o 34%, a kobietom, które miały raka piersi, nie poleca się codziennego jedzenia nabiału, ponieważ może to zwiększyć ryzyko śmierci z tego powodu aż o 49%.

EKOLOGIA

Kolejną przyczyną są skutki środowiskowe. Gospodarka zwierzęca wpływa na zanieczyszczenia, tak jak one wpływają na jedzenie. Trująca substancja – dioksyna jest dostarczana naszemu organizmowi aż w 93% poprzez nabiał i mięso. Niestety mężczyźni nie mogą się pozbyć jej w żaden sposób z ciała, a kobiety mogą to zrobić tylko poprzez przekazywanie ich płodom i karmienie piersią małych dzieci.

Zanieczyszczenia mają duży wpływ na ludzi mieszkających przy hodowlach. Hodowle zwierząt produkują wiele odchodów. Osoby mieszkające przy takich miejscach prawie zawsze chorują na choroby takie jak: astma, problemy z zatokami czy nawet nowotwory. Ze względów socjalnych nie mogą się przenieść w inne miejsce i mają ekstremalnie trudne warunki życia. Do hodowli i rolnictwa poświęcamy aż 70% wody pitnej. Do wyprodukowania 1 kg wołowiny przeznaczamy ok. 15 tys. litrów, a do jego zamiennika – 1kg tofu tylko 2 tys. litrów.

GENETYKA

Następną przyczyną jest myśl, która mówi o tym, że ludzie jako *homo sapiens* nie są przystosowani i stworzeni do jedzenia mięsa. Społeczności argumentują, że roślinożercy posiadają płaskie uzębienie, co ma ułatwić spożywanie roślin, ich szczęka porusza się do przodu, tyłu i w bok, a ich jelita są dziewięciokrotnie dłuższe niż ciało. Wszystkożercy mają uzębienie bardziej karbowane do rozrywania mięsa, ich szczęka porusza się tylko do góry i w dół, ich kwasy żołądkowe są silniejsze, a jelita trzykrotnie dłuższe niż ciało. W przeciwnieństwie do wszystkożerców, nie mamy mieszanej anatomii. Z tych uzasadnień wynika, że człowiek jest tylko roślinożerny.

Ludzie mają bardzo rozbieżne zdania na temat diety wegetariańskiej i wegańskiej. Zmiana swojego stylu życia jest teraz „na topie”, a to może pomóc nam w zmniejszeniu ofiar ciężkich chorób związanych z nieodpowiednim sposobem odżywiania i poprawić warunki środowiskowe.

JULIA LUDWISIAK

NIC A JEDNAK COŚ

Postać Wojtka Sokoła łączy pokolenia ludzi znających go od samego początku jego kariery, jak i tych, którzy dopiero weszli w świat jego muzyki. Na polskiej scenie hiphopowej jest od 1996 roku. Do dzisiaj osiągnął tak wiele, że słyszał o nim każdy. Stal się glosem ówczesnego pokolenia i młodych raperów, których swoją twórczością zachęcił do zrobienia kroku w stronę pisania tekstów i walczania o to, by ich nazwiska nabraly znaczenia w rapie. Wielu fanów hip-hopu swoje początki zawdzięcza właśnie Sokolowi i wspiera go od jego początków, aż po dziś.

Przez 23 lata nigdy nie działał sam, zawsze w grupie WWO lub w duecie z Marysią Starostą. Dopiero w 2019 roku wydał swoją pierwszą solową płytę pod tytułem *Wojtek Sokół*. Niedawno, po prawie dwuletniej przerwie, wyszła kolejna pod tytułem *NIC*. Sympatycy Wojtka byli spragnieni jego muzyki, przy czym wiedzieli, że warto na nią czekać, bo z płyty na płytę artysta zaskakuje ich na nowo i sprawia, że sympatia do niego ciągle rośnie.

Włączłyśmy płytę i od razu po przesłuchaniu kilku pierwszych wersów piosenki *Cześć* wiedziałyśmy, że nie damy rady szybko jej wyłączyć. To, czego wszyscy oczekiwaliśmy, właśnie się spełniło. Tematyka płyty to zupełnie chaos, ponieważ żadna piosenka nie brzmi podobnie do pozostałych, a ich teksty różnią się przekazem. Sokół rozpoczyna, mówiąc nam wprost o swojej rozpoznawalności przez innych polskich dużych raperów: „Taco nazwał mnie królem”, „Biały słuchał mnie na taśmach”, „Ras mawia na mnie ojciec”. Ale teksty to nie jedyna rzecz, która zaskakuje. Warto zwrócić uwagę na same featy na albumie. W piosence *Batoniki* raper czyni postęp współpracując z młodym, zaczynającym dopiero swoją historię z rapem pokoleniem. Mowa tu o Hodaku, który jest świeży na polskiej scenie muzycznej. Sokół chętnie podaje mu rękę i w ten sposób pokazuje swoim starszym faniom, rapera będącego idolem ich dzieci. Stosuje ten zabieg nie po raz pierwszy, bo na swoje kawałki zapraszał już wcześniej Taco Hemingwaya czy Oskara z PRO8BL3MU. *Batoniki* to jednak nie jedyny zaskakujący feat na płycie, bo największe oczekiwania fani mieli wobec piosenki *Na cały świat*, w której pojawiają się Pezet i Quebonafide, których można nazwać weteranami hip-hopu.



Klimat płyty mogliśmy poznać po wydanych przez rapera wcześniejszych singlach między innymi takich jak *Płaczemy pięćią w stół*. Sokół odkrywa po kolei karty, ale najlepsze zostawia na dzień premiery. Jedni nie zgadzają się z takim zabiegiem, gdyż uważają, że wcześniej wypuszczone single zepsuły całą magię polegającą na przesłuchaniu płyty w całości jako coś nowego. To dobra promocja nadchodzącego albumu i przypomnienie fanom o sobie, chociaż według niektórych jest ona zbędna w przypadku Wojtka.

Sokół świetnie sprawdza się też w promujących płytę akcjach. Pierwszą z nich, która przygotowała słuchaczy na nowo nadchodzący album, było wykonanie na żywo piosenki *Jak urosnę* z Zespołem Dziecięcym „Fasolki” w audycji Agnieszki Szydłowskiej PS GRA w newonce.radio. Nikt nie spodziewał się połączenia głosu dzieci z wokalem Sokoła. Było to coś, czego nie zrobił jeszcze nikt. Wykonanie na żywo w radiu wywołało w wielu słuchaczach ogromne wzruszenie polegające na przywołaniu wspomnień z młodości. Ale to nie wszystko! Odsłuch poprzedniej płyty polegającej na jeżdżących range roverach po warszawskich ulicach tym razem zastąpił ogromny neon na Placu Konstytucji w Warszawie na budynku hotelu MDM. Podświetleniu neonu towarzyszyła impreza odsłuchowa płyty, na którą zostali zaproszeni topowi polscy artyści i dziennikarze reprezentujący różne pokolenia. Również cała Warszawa została oklejona biało-czarnymi plakatami z napisem „NIC”.

Możemy zgodzić się z większością głosów, że album jest najważniejszym wydarzeniem jesieni 2021 i idealnym podsumowaniem kończącego się roku. Sokół jak zwykle nie zawiódł, pokazał, kto rządzi na scenie i stanie się legendą. Trudno dziwić się, dlaczego trzeba było czekać na nowy album prawie dwa lata. Cała płyta jest idealnie wykończona, a każdy wers został przemyślany kilka razy. Odczucia towarzyszące nam podczas odsłuchu są podobne do tych, które możemy poczuć na bitwach freestylowych i na koncertach, stojąc w tłumie i podnosząc na prośbę rapera ręce do góry. Na długo nie zapomnimy o tej płycie, o bitach i towarzyszącemu jej rozgłosu. Wystarczy jedynie usiąść wygodnie, założyć słuchawki (niekiedy zamknąć oczy), aby poczuć jej prawdziwy klimat i to, co chciał nam przekazać artysta.



NATALKA WALESIENIUK, MARTYNA KNYZIAK FOT. NATALKA WALESIENIUK

CIEMNA STRONA

K-POPU

K-pop (koreański pop) to gatunek muzyczny pochodzący z Korei Południowej, który powstał w latach 90. wraz z pojawiением się pierwszego zespołu – *Seo Taji and Boys*. Zawiera w sobie wpływy innych gatunków takich jak hip-hop, jazz, techno czy nawet muzyka klasyczna. Koreański pop charakteryzuje skomplikowane choreografie, przystojni idole oraz niesamowite teledyski, często przedstawiające historię związaną z daną piosenką – krótkie filmy zdobywają miliony, a nawet miliardy wyświetleń dzięki swojej unikatowej estetyce (przyciągające wzrok stroje artystów i niezwykła kolorystyka). Popularnym stereotypem krążącym na temat idoli jest ogólne przekonanie, że wiodą oni życie idealne i spokojne we współpracy z fanami i wytwórniami. Ale jak jest naprawdę?

HISTORIA

K-pop stał się popularny na całym świecie mniej więcej w roku 2012, gdy zespół PSY wypuścił piosenkę *Gangnam Style*. Utwór w bardzo krótkim czasie znalazł się na pierwszych miejscach list przebojów i był niesamowicie popularny także w Polsce. W tej chwili ma na kanale YouTube ponad 4 miliardy wyświetleń. Po wielkim sukcesie PSY inne zespoły miały ułatwioną drogę do sławy i dzięki temu teraz do najpopularniejszych boysbandów na świecie zaliczają się m.in. BTS czy EXO, a ich albumy sprzedają się w milionach kopii. Według danych ze Spotify na luty 2020, K-pop został odsłuchany ponad 41 miliardów razy, co daje łącznie około 134 miliardy minut słuchania, a piosenki z tego gatunku zostały dodane do 96 milionów playlist. W tym momencie najpopularniejszymi koreańskimi zespołami w Polsce są Stray Kids, BTS i BLACKPINK.



FOT. MATT WINKLEMEYER, GETTY IMAGES

WYTÓRNIĘ I TRAINEE – WIELE LAT RYZYKOWANIA SWOIM ZDROWIEM I ŻYCIEM

Agencję i początkującego artystę łączy kontrakt zwany niewolniczym, gdyż jest to długoterminowa nieuczciwa współpraca podpisywana aż na 7 lat. *Trainee* – to osoba szukająca się do debiutu w danej wytwórni, przez wiele lat trenująca taniec, śpiew, rap oraz umiejętności pokazywania się przed kamerą. W umowie, którą podpisują, przyszli artyści zostają zobowiązani do spłacenia dłużu wytwórni, czyli kwoty jaką agencja wydała na przygotowanie do debiutu oraz koszt utrzymania twórcy. Do momentu spłaty zadłużenia aspirujący idol nie otrzymuje żadnych zarobków ze swojej pracy. Wyjątkami są największe wytwórnie Korei zwane wielką trójką Y.G, JYP i SM. Jeśli ktoś chce zerwać kontrakt przed końcem umowy, agencja ma prawo nałożyć na niego kary finansowe. W przeszłości kontrakt trwał 13 lat, lecz po pozwaniu wytwórni przez zespół *TVXQ* zmieniło się to i obecnie od 2009 roku trwa on krócej. Niektóre firmy zabraniają korzystania z telefonów i social mediów, a jeśli nie zakazują, to to kontrolują. Jedyne agencje, pozwalające na posiadanie kont, to SM i YG, ale tylko w przypadku popularniejszych grup. *Trainee* mieszkają w dormach, które kontrolują ich wytwórnie. Obowiązują tam zasady, które obejmują m. in.: kontrolę wagi, zakaz randkowania, ingerencję w wygląd zewnętrzny, a artyści są zobowiązani do wielogodzinnych wyczerpujących treningów. Po debiucie regulamin nie ulega zmianie, a idole wciąż żyją pod presją i obserwacją.

DIETY I INGERENCJA W WYGLĄD – PRESJA TRZYMANTIA SIĘ STANDARDÓW PIĘKNIA

Jedną z największych koreańskich norm jest szczupła sylwetka i niska waga, dlatego niektórzy idole, aby zaistnieć w świecie koreańskiego show biznesu sięgają po niebezpieczne diety. Przykładem takich postępowań jest Jimin z BTS, który w 2016 roku przyznał się do stosowania głódówki. Jednakże wówczas tylko jeden mały posiłek dziennie, co doprowadziło go do hospitalizacji. Inny członek BTS – Suga, powiedział, że mimo niedowagi myśli o diecie, ponieważ jest idolem i musi wyglądać nieskazitelnie. Kolejnym przykrym przykładem jest Hwa Sa z Mamamoo, która mimo wielkiego talenta wiele razy była odrzucana ze względu na swoją wagę, co również doprowadziło ją do stosowania diet.



FOT. ROGER KISBY, GETTY IMAGES

MIŁOŚCI W KPOPIE – POCZUCIE ZDRADY I POZWY DO WYTÓRNIA

W kontraktach występuje zakaz randkowania znany szerzej jako dating ban – brak możliwości bycia w związkach spowodowany obawą wytwórni przed poświęceniem kariery dla miłości. Racjonalnym uzasadnieniem mogą być kwestie finansowe, czyli strach przed utratą idola przynoszącego wytwórni duże dochody. Większa presja nieposiadania osoby partnerskiej ciąży na kobietach, gdyż problemem jest możliwość zajścia w ciążę, co spowodowałoby zaprzepaszczenie kariery. Jednym z największych skandalów było odkrycie związku pary koreańskich idoli z jednej wytwórni Hyuny i Dawna. Sprawę dodatkowo nakręcała ich firma, która ostatecznie wyrzuciła ich z agencji. Fani w końcu zaakceptowali związek, jednak nie zawsze tak się dzieje. Przykładem takiej sytuacji może być Chen z EXO, który w styczniu 2020 roku ogłosił, że on i jego narzeczona spodziewają się dziecka. Po opublikowaniu oświadczenia przepraszał swoich fanów, którzy źle przyjęli tę nowinę. Dodatkową kontrowersję wywołał fakt, że para nie była małżeństwem. Fandom podzielił się, a koreańscy fani zaczęli pisać pozwy z prośbą o usunięcie Chena z grupy, ponieważ czuli się zdradzeni.

SASAENGI – BRAK PRYWATNOŚCI I OBAWA O SWOJE BEZPIECZEŃSTWO

Sasaengi – (kor. obsesyjny fan) osoba, która śledzi idoli i narusza ich prywatność. Wśród fanów pojawiają się tacy, którzy ingerują w życie idoli poprzez wydzwanianie do nich, śledzenie, naruszanie ich przestrzeni osobistej i nie tylko. Nie jest dziwne, że fani dają prezenty swoim idolom, jednak *sasaengi* posuwają się o krok dalej... Przykładem takiej sytuacji może być zespół EXO, który został obdarowany misiem z ukrytą w oku pluszaka kamerą. Zarejestrowane zdjęcia zostały opublikowane w sieci. EXO jest zespołem, który od zawsze boryka się z problemem obsesyjnych fanów. Kolejnym skandalem naruszania prywatności z ich udziałem było zamontowanie w łazience hotelowej kamery, która zarejestrowała jednego z byłych członków zespołu – Tao, a cały materiał trafił w ręce psychofanów. Kolejnym problemem koreańskich idoli są częste wycieki ich numerów telefonów do Internetu, co powoduje nieprzyjemne sytuacje. Przykładem było wydzwanianie *sasaengów* do Jungkooka – członka BTS. Idol przyznał, że jest zmuszony do blokowania numerów. Jest to jedyne rozwiązanie, gdyż stworzenie nowego równałoby się z ponownym zdobyciem do niego kontaktu. Jak widać życie koreańskich idoli, nie jest tak kolorowe jak ich teledyski, a prawda jest zupełnie inna. Artyci codziennie muszą borykać się wieloma problemami, wyrzeczeniami, nakazami i narzuconymi zasadami. Przedstawione sytuacje to zaledwie częstka ciemnej strony *k-popu*.

ROZALIA DIDUSZKO, NELLY GOLDEWICZ, ZOFIA KIJAK

TW: SAMOBÓJSTWO, SAMOOKALACZENIE, MORDERSTWO NA TLE HOMOFOBICZNYM

WRZASKI, GITARY jak WIERTARKI ...

MARTWY KOLEGA NA OKŁADCE

BLACK METAL

BRUDNY, GŁOŚNY I KRWAWE ALE MA W SOBIE „TO COS”

Powstały na początku lat osiemdziesiątych jeden z dziesiątek podobnie dzikich podgatunków muzyki metalowej, bezdyskusyjnie zalicza się do tych najbardziej charakterystycznych. Wyróżnić go mogą nagrane w niskiej jakości albumy, skrajnie rebeliancki charakter muzyków (szczególnie tych z drugiej fali), którzy bezpardonowo potrafili podpalić kościół czy zamordować kolegę, aż wreszcie ich *image*. *Image* o dziwo całkiem podobny do zaszczepionego w naszych głowach obrazu gniewnego młodego człowieka ubranego na czarno, umalowanego jak miś panda – co ładniej określa się mianem *corpse paint* – ogromną ilością ćwieków na każdej kończynie i z długimi włosami.

Pod ten parasol stereotypów i skojarzeń podpada również idea, że muzyka black metalowa pochodzi z Norwegii lat 90. Czy rzeczywiście tak było? No cóż – nie do końca. Żeby się tego dowiedzieć należy zrobić dokładnie to samo, co zrobił Marty McFly przerobionym Deloreanem – *cofnąć się w czasie...*

PIERWSZA FALA

Anglia, Szwecja, Szwajcaria, Norwegia... a może Niemcy?

Venom

Wyspy brytyjskie na kartach muzyki zapisały się już niejednokrotnie. Chcąc, nie chcąc, to stamtąd pochodzą takie legendy jak Motorhead, Iron Maiden i odchodzące już powoli w zapomnienie Diamond Head. Od tych zespołów swoją przygodę zaczął słynny nurt *New Wave of British Heavy Metal*, od którego między innymi pochodzi właśnie black metal.

W Newcastle, anno domini 1979, na łamach kapeli Guillotine powstaje nowy zespół Venom, w skład, którego wchodzili kolejno Clive „Jesus Christ” Archer, Jeffrey „Mantas” Dunn, Dave Rutherford, Alan Winston i Tony „Abaddon” Bray. Czy to był już ten właściwy Venom? Nie. Zespół na dobre rozkręcił się po tym, gdy basista Alan Winston i wokalista Clive Archer w nieznanych okolicznościach opuścili Venom, a ich miejsce zajął niejaki Conrad Lant posługujący się nie byle jakim aliasem – Cronos.

Trójka oprócz tego, że wykreowała bardziej konkretny szkic stylu tej muzyki za sprawą swojego drugiego albumu skromnie zatytułowanego Black Metal (to właśnie od tego krajką wzięła się nazwa gatunku), dali podwaliny pod typowy, blackmetalowy wokal, jaki znamy dzisiaj.

Panowie oprócz samego zarysu brzmienia rozpoczęli w pewnym stopniu kreowanie „diabelskiego” *image’u*. Venom na scenę wkraczało objuczone lałuchami, ćwiekami, a i sama scena była przyzdrobiona dość kontrowersyjnymi (jak na tamte czasy) symbolami. Chociażby powszechnie odbieranymi jako symbole szatana pentagramami i odwróconymi krzyżami.

Celtic Frost

W tym samym czasie kiedy Venom wydaje *Black Metal*, tysiące kilometrów dalej, w górzystej Szwajcarii na scenie podziemnej swoje skrzydła – na krótką chwilę – rozwija założony przez Toma Gabriela Fishera i Martina Aina zespół Hellhammer, który uznanie zdobył za sprawą wydania jedynego w swojej karierze minialbumu pt. *Apocalyptic Raids*. Niedługo potem Hellhammer rozpada się, a na jego gruzach powstaje nowa grupa, która dziś może pochwalić się szerszą dyskografią i jeszcze większym uznaniem – mowa o dziś już legendarnym Celtic Frost.

Zespół w czasie swojej raz po raz przerywanej kariery (działali bowiem w latach 1984–1987, 1988–1993, 2001–2008) nie tylko stał się jednym z dziś już kultowych zespołów, jak i ewoluowali z black metalu pierwszej fali w stronę doom, tak w roku 1984 dorobili się swojego największego dzieła, jakim jest płyta *Morbid Tales*. Album spośród pozostałych płyt tej grupy z pewnością wyróżni takie numery jak *Into the Crypt of Rays* czy *Procreation of the Wicked* jak i fakt, że w przypadku Celtic Frost zaczął być używany *corpse paint* zanim spopularyzowało go Mayhem.

Bathory

W tym samym roku, kiedy Hellhammer zabłysnął w Szwajcarii, w Sztokholmie siedemnastoletni Tomas „Quorthon Seth” Forsberg, Jonas „Vans McBurger” Åkerlund i Fredrik „Freddan” Melander, inspirowani słynącą z zamiłowania do sadyzmu

KURIER SOBIESKIEGO LISTOPAD/GRUDZIEŃ 2021

Krwawą Hrabiną – Elżbietą Batory – zakładają zespół o takiej samej nazwie jak jej nazwisko. Bathory stała się pierwszym zespołem z nurtu black metalu na lądzie skandynawskim (nie, Mayhem nie było pierwsze). Co ciekawe z oryginalnego składu Bathoryostał się jedynie Quorthon, który kierował tymże tworem aż do swojej śmierci w roku 2004, kiedy to został znaleziony martwy w swoim mieszkaniu. Przyczyną śmierci był zawał serca.

Morbid – początek drugiej fali?

W czasie, gdy pierwsza fala black metalu nieco ucichła, kolejny siedemnastolatek ze Sztokholmu postanowił dołożyć swoją cegiełkę do całej sprawy. Rok 1986 i jasnowłosy Per Yngve Ohlin aka Dead, John „Gehenna” Hagström, Slator, Marcus „Klacke” Klack, Francesco Sandro Lauri Cajander i Torbjörn „TG” Gräslund zakładają skromny zespół z pogranicza death i black metalu o prostej nazwie Morbid.

Grupa pomimo tego, że doczekała się jedynie dwóch oficjalnych demo i rozpadła się po dwóch latach działalności, ma status kultowej. Ma to związek z faktem, że Pelle opuścił Morbid w roku 1988 dla innego zespołu – Mayhem, który w dużym stopniu jest znany dzięki właśnie Ohlinowi, a właściwie jego śmierci i temu, co wyczyniał na scenie.

Równolegle do powyższych kapel, za naszą zachodnią granicą do powoli rozwijającego się nurtu swój skromny wkład dokładają zespoły, które dziś znamy z tego, że grają świetny thrash.

DRUGA FALA I LATA 90.

Tajemne rytuały Lorda Szatana

Blisko dekadę po tym, jak na wyspach powstał Venom, w mroźnej Norwegii black metal ewoluuje w coś mroczniejszego niż świat dotychczas miał szansę usłyszeć. Także nowe zespoły zaczynają swoją przygodę z tymże gatunkiem. Między innymi uznawane za pionierów drugiej fali – powstałe na łamach Black Death, Darkthrone i dziś często krytykowane Mayhem.

U schyłku lat 80’ i na początku 90’ zaczął się też precyzować styl, w jakim będą poruszać się następne pokolenia blackmetalowych kapel. Za sprawą zespołów pokroju Emperor brzmienie się ujednolicило, a styl ustabilizował. Black Metal zatracił też parę różnic z nurtem New Wave czy Thrash Metallem, w którym BM* mają też swoje korzenie. Jedną z nich mogą być chociażby wokale, które „zyskały brudu” i stały się bardziej skrzekliwe. Dalej można podać sposób, w jaki wybrzmiewają gitary i są pisane riffy – black metalowe melody stały się bardziej chaotyczne za sprawą prędkości i ilości przesteru, która znaczco wzrosła od momentu wydania *Black Metal*. Warto by też zwrócić uwagę na teksty, które tematycznie w ogóle się nie zmieniły, a zostały doprawione takimi chwytającymi za serce frazami jak „BLEGH!” i podobnymi równie znaczącymi setki słów idiomami. Kolejną drobną, aczkolwiek ważną dla muzyków, różnicę można zauważyci chocabżby w skalach, na których są oparte te spokrewnione ze sobą gatunki (TW: hasła z nemezis większości metalowych gitarzystów – teorii). Gatunki pokroju właśnie Thrash Metal i NWBOHM** są i były pisane w skali jońskiej, a muzycy black metalowi albo nie posługiwali (i nie posługują) się żadną skalą, albo posługują się frygijką. Druga fala black metalu nie istniałaby jednak, gdyby nie zespoły, które ją utrzymywały i napędzały. Za zespół, który rozpoczęł ten kocioł, uznaje się założone w roku 1983 przez młodzieńca o nazwisku

Oystein Aarseth aka Euronymous razem z kolegami ze szkoły – basistą Jørnem „Necrobutcher” Stubberud oraz perkusistą Kjetilem Manheim – niesławne Mayhem. Chłopaki swoją przygodę zaczynali w wynajmowanej sali prób w Langhus w Oslo, grając muzykę inspirowaną zespołami pokroju Celtic Frost, Motorhead i Slayer. Z czasem dołączył do nich wokalista Eirik „Messiah” Nordheim, z którym Mayhem wydało swoje pierwsze demo noszące tytuł *Pure Fucking Armageddon*. Nie piastuje on tego miejsca jednak zbyt długo, albowiem krótko po wydaniu dema, Nordheim żegna się z zespołem, a na jego miejsce wchodzi Sven Erik Kristiansen, ukrywający się pod aliasem Maniac. Właśnie z tym dżentelmenem w składzie, w roku pańskim 1987 powstaje pamiętny *Deathrush*, za którym rusza cała karuzela śmiechu i czystego szaleństwa.

Parę miesięcy później wokalista i perkusista opuszczają Mayhem i krótko po tym wydarzeniu Pelle „Dead” Ohlin wysyła kasetę demo załączoną ukrzyżowaną myszą do Euronymousa, kandydując tym samym na stanowisko następnego pieśniarza grupy. Szczęśliwie dla Ohlina na początku 1988 roku razem z Janem Axelem Blomberg (aka Hellhammer, obsługiwał perkusję) stają się nowymi członkami grupy.

Panowie (poprzedzeni przez Celtic Frost) inspirowani Kiss i Alicem Cooperem, wychodząc na scenę oprócz tradycyjnej czerni, bullet beltów i ćwieków, rozpowszechnili wspomniany na początku *corpse paint*, dzięki czemu stali się awangardą. Na koncertach rzucali świńskie łby w tłum, ale prawdziwe zainteresowanie Mayhem zaczęło się po tym, gdy na jednym z koncertów w Leipzig w roku 1990, Dead na scenie wyciągnął nóż i rozciął sobie nadgarstki do tego stopnia, że niewiele brakowało, a potrzebna byłaby interwencja lekarza.

Świt czarnych serc

W tym czasie stosunki Ohlin – Aarseth uległy znacznemu pogorszeniu. Do tego stopnia, że na porządku dziennym było wzajemne życzenie sobie śmierci i nagabywanie przez Euronymousa, Deada do zabicia się. Cóż, koniec końców jedna ze stron sukces odniosła.

W roku 1991 odurzony naftą Dead, przebywający sam w domu, w którym mieszkał wspólnie z Euronymousem, popełnił samobójstwo poprzez rozcięcie sobie tętnic udowych (co już by wystarczyło, aby się zabić ze stu procentową pewnością), podcięcie nadgarstków i gardła, i wreszcie strzelając sobie w głowę. Oystein, gdy go znalazł, nim zadzwonił na policję, zrobił słynne zdjęcie, które później ukazało się jako okładka albumu live z roku 1995: *Dawn Of The Black Hearts* i zadzwonił do basisty Jørna, mówiąc „Dead zrobił coś wspaniałego! Zabił się! Ale spokojnie, mam wszystko na zdjęciach!”.

Co więcej, Aarseth zabrał fragmenty czaszki wokalisty i zrobił z nich naszyjniki, które dawały osobom zasługującym na to.

W roku 1991 po samobójstwie Pellego, line-up zespołu znacznie się zmienia. Odchodzi pierwotny basista Necrobutcher, a na jego miejsce do Mayhem dołączy dżentelman znany jako Varg Vikernes z jednoosobowego projektu Burzum, wokalista Attila Csihar i gitarzysta Snorre „Blackthorn” Ruch.

W takim składzie Mayhem kontynuowało rozpoczęta za życia Deada pracę nad swoim pierwszym pełnometrażowym albumem. Po drodze jednak doszło do śmierci Euronymousa z rąk Vikernes, przez co Varg skończył z wyrokiem dwudziestu jeden lat pozbawienia wolności. Ku uciescie fanów zespołu płytę jednak ukończono i 24 maja 1994 wydano debiutancki *De Mysteriis Dom Sathanas*, po którym zespół zniknął na trzy lata.

Burzum i tradycje

Cóż, niestety Mayhem i Burzum są takim fenomenem, że nie da się przedstawić dziejów jednego, bez zdradzenia fragmentu historii drugiej.

Varg Vikernes, urodzony jako Kristian Larsson w 1973 roku niedaleko Bergen, swoją przygodę z muzyką blackmetalową zaczął w 1988 roku. Inspirowany twórczością J.R.R. Tolkiena założył kapelę Uruk-hai, którą na koniec porzucił na rok na rzecz grania dla Old Funeral, w skład, którego wchodzili muzycy z Immortal i Abbath.

Vikernes w tym samym czasie zaczyna dogadywać się z Mayhem, zakładając wreszcie Burzum w roku 1991 (tej samej wiosny ukazują się także dwa dema) i już następnej wiosny pod szyldem wytwarzanego Euronymousa – Deathlike Silence – wychodzi pierwszy album zatytułowany tak jak nazwa projektu.

Co Burzum takiego zrobiło, że zapisało się na kartach historii black metalu, bo jak na razie robi to samo, co każda inna kapela? Tutaj dochodzą kolejne elementy układanki. Otóż to Varg dodał ważny element tego, co wyczyniali blackmetalowcy – zaczął palić kościoły. Dla niego wyszło dobrze, bo zapewne świetnie się bawił, paląc świątynie, jak jointy, ale dla kulturowego dziedzictwa jedna z jego akcji za dobrze się nie skończyła. Długowłosy Varg zamienił w popiół jedenastowieczny zabytkowy kościół w Bergen. Vikernes za ten występ prawdopodobnie by nie złapano, gdyby nie to, że na albumie Burzum *Aske*, zostało umieszczone zdjęcie dopalającej się świątyni.

Podkładając ogień w świątyni, zaimponował tym samym swojemu koledze Oysteinowi z Mayhem, który w między czasie zdążył założyć stowarzyszenie Black Metal Inner Circle.

dwendzieścia jeden lat więzienia. Oczywiście więzienne mury nie powstrzymały Vikernes przed dalszym tworzeniem materiału. Za kratami nagrał dwie pełnometrażowe płyty – *Daudi Baldrs i Hildskjaf*.

Emperor

W czasie, gdy Vikernes odkrył nowe hobby, jakim jest palenie kościołów, perkusista Emperora znalezł własne.

Emperor! Jedna z najbardziej finezyjnych kapel blackmetalowej, drugiej fali mającej na swoim koncie takie perelki jak *In The Nightside Eclipse* czy *Anthems To The Welkin' At Dusk*. Zespół powstał w roku 1991 założony przez siedemnastoletniego wówczas Tomasza „Samotha” Haugena i Vegarda „Ihsahna” Tveitana. W następnym czasie dołączył do nich Havard Ellefsen (znany szerzej jako Mortiis) oraz feralny perkusista Bard „Faust” Eithun. Krótko po powstaniu kapeli, w 1993 roku Emperor wydał sprzedane w 500 kopię EP, nazwane tak samo jak zespół. Winyl zawierał tak obiecujące numery jak *I Am the Black Wizards* czy *Cosmic Keys to My Creations and Times*, które później ukazały się na pierwszym studyjnym albumie Emperora – absolutnie genialnym *In The Nightside Eclipse* wydanym w roku 1994.

W sierpniu 1992 roku Faust zadał trzydzięci siedem ciosów nożem niejakiemu Magne’owi Andreassenowi po otrzymaniu propozycji seksu. Eithun otrzymał pracę w sklepie płytowym Aarsetha w Helvete i swego rodzaju ochronę, dzięki czemu wpadł dopiero, gdy oskarżono go o pozbawienie życia swojego pracodawcy. W międzyczasie w niejednokrotnie już wspominanym Black Metal Inner Circle, Faust zyskał uznanie za sprawą rozpuszczenia przez Euronymousa wieści, jakoby Bard miał zabić. Eithun oprócz szacunku w metalowym świecie otrzymał czternaście lat za kratkami.

Burzliwe czasy

Podczas gdy black metal stopniowo rozwijał się na płaszczyźnie muzycznej, równolegle do muzyki pojawiały się pewne przeświadczenia i osady. Otwarte antychrześcijaństwo, nazizm czy wreszcie homofobia doprowadziły do niejednokrotnie incydentów podpadających pod paragrafy. Szczególny udział w tym wszystkim po raz kolejny miał Euronymous, który na początku lat 90’ założył wspomniane już stowarzyszenie Black Metal Inner Circle.

Co ciekawe (i ważne) organizacja była podzielona na dwie części: Inner circle – gdzie należeli bliści znajomi Euronymousa, oraz Outer Circle – do którego należeli fani zespołów przynależących do owego stowarzyszenia.

Dwunastoosobowa grupa z Inner Circle, składająca się z między innymi muzyków Mayhem, Burzum, Darkthrone, Immortal i Emperor spotykała się w piwnicy sklepu Aarsetha, Helvete i dywagowała o swoich wyczynach. Przez między innymi BMIC*** i ichniejsze wybryki zaczęły się rodzić nowe problemy, które później doprowadziły do takich incydentów jak słynne (i wymieniane wyżej) morderstwa, które - o zgrozo – nie były jedyne.

Pośród serii palonych kościołów i skazań, gitarzysta i założyciel Dissection w 1997 roku został postawiony przed sądem za udział w śmierci Josefa Bena Meddoura. Jako że Josef był gejem morderstwo zostało uznane za akt nienawiści wobec homoseksualizmu.

W Norwegii, w szczytowym momencie drugiej fali praktycznie nie było gazety, która nie poruszyłaby tematu tego gatunku. Szczególną i często pomijaną sprawą jest incydent związany z podpaleniem domu wokalisty – wtedy jeszcze death metalowego – zespołu Therion. Wówczas 16-letnia Suvi Prurunen, rzekomo namówiona przez Vikernes, podłożyła ogień pod drzwi muzyka Therion. Dziewczyna później została zamknięta w szpitalu psychiatrycznym

Nie tylko lata 90. bogate były w skandalizujące wydarzenia. W 2007 roku zespół Gorgoroth dał jeden z najbardziej obrazoburczych koncertów w dziejach muzyki metalowej. Gorgoroth wyszło na scenę usłaną koźlimi łbami (prawdziwymi), a prawdziwe oksury dodały trzy (żywe), nagie i ukrzyżowane kobiety. W tym przypadku można zacząć zastanawiać się, czy panowie nie przebili wyczynu Mayhem z okładką *Dawn Of The Blackhearts*, ale jedno jest pewne – Mayhem nie musiało płacić 10 tys. złotych grzywny, a Gorgoroth – tak jak Varg – owszem.

A dzisiaj?

Dziś zauważać można, że ten niegdyś żywy i odrażający światek, znacznie ucichł. Ostatnio większego szumu narobił zespół Satyricon z remasterem swojego kultowego albumu *The Shadowthrone*, Mayhem z singlem *Voces ab Alta* oraz dziś już death metalowe Cradle of Filth z nowym albumem *Existence is Futile*. Kapele, które w złotej erze drugiej fali, pokazywały rogi – no nie ukrywajmy – zestarzały się i dziś z pewnością nie podpalą kościoła.

Black metal znów zszedł do podziemia, gdzie powstają nowe, równie dobre co stare, lepsze lub gorsze zespoły. Czy możemy się spodziewać kolejnej fali? Tego nikt nie wie. Z pewnością można powiedzieć, że wierni i oddani fani bezlitosnego metalu o pionierach gatunku nigdy nie zapomną, a wręcz będą kontynuować kult tej bluźnierczej i pięknej muzyki.

*BM – black metal

**BMIC – Black Metal Inner Circle

***NWBOHM – New Wave of British Heavy Metal

MAREK DYJAK NA WZGÓRZU ROZPACZY

24 listopada w Kuźni Kulturalnej w Wilanowie Marek Dyjak zaplanował premierę swojej najnowszej płyty *Na wzgórzu rozpacz*. To nie pierwszy koncert Dyjaka w moim życiu, ale jak zawsze – najbardziej poruszające ze wszystkich wydarzeń muzycznych, na jakich bywam. Jego przejmujących utworów słucham od lat i za każdym razem towarzyszą temu duże emocje. Bo kto choć raz usłyszy jego muzykę nie może pozostać na nią obojętny. Na pewno nie można powiedzieć o niej, że jest miła i przyjemna. Z jednej strony to poetyckie, pełne liryki i emocji kompozycje, z drugiej – utwory bezkompromisowe, pełne zadziorności, wyśpiewane, wykrzyczane i wyszeptane zachrypnietym, knajpiącym, zdartym szorstkim, ale pełnym głosem.

„Polski Tom Waits”, „polski Włodzimierz Wysocki”, „najbardziej prawdziwy głos na polskim rynku muzycznym”, „głos na granicy desperacji, krzyku i rozpacz” – tak o twórczości Dyjaka mówią krytycy. Nie muszę jednak być ekspertem, aby poczuć tę wyjątkową wrażliwość, bezbronność i prawdę emanującą z tej twórczości i od samego twórcy. Zresztą Dyjak sam o sobie mówi, że nie jest artystą, a wyrażaczem emocji. Na niejednym koncercie widziałam jego łzy....

Trudno znaleźć w Polsce drugiego muzyka, którego życiorys miał tak ogromny wpływ na kształt jego drogi artystycznej. Dorastanie w rodzinie z przemocowym ojcem, wagary, alkoholizm, detoksy, tułaczki, wreszcie próba samobójcza, po której sąsiad reanimował go trzy kwadranty, a lekarz pogotowia stwierdził zgon. Dyjak obudził się po kilku dniach śpiączki, przeżył dzięki pęcherzowi powietrza, który utknął w tchawicy i dotknął mózg. Od tamtej pory po dziś jest abstynentem.

Z wykształcenia hydraulik, zawodnik boksu w klubie Avia Świdnik, w ręce którego wpadł pewnego dnia tomik poezji Rafała Wojaczka, co zapoczątkowało próby śpiewania i komponowania. Samodzielnie uczył się też od dziecka gry na gitarze, trąbce i pianinie. Podczas jednego ze swoich występów został zauważony przez Jana Kondraka, lokalnego lubelskiego barda, który stał się jego mentorem i do dziś tworzy dla niego repertuar.

Z trzynastu albumów, jakie Marek Dyjak ma na swoim koncie, najbardziej wyjątkowe i poruszające jest dla mnie *Moje Fado*. Na płycie tej nie ma, moim zdaniem, słabych utworów, każdego z nich mogę słuchać po wielokroć i wciąż jestem pod wrażeniem jak wiele melancholii, rozpacz, ciepła i zadumy emanuje z każdego słowa i dźwięku. Dyjak powiedział kiedyś, że to pierwsza płyta, którą nagrał zupełnie na trzeźwo. Może stąd właśnie ta głębia, prawda i szczerość do bólu? Bardzo podobały mi się też duety Dyjaka z Peją, Stanisławą Celińską i Katarzyną Nosowską – to zaskakujące jak artysta dobrze odnajduje się w różnych klimatach i gatunkach muzycznych.

Często wracam też do książki *Polizany przez Boga*. To poruszający wywiad rzeka, który przeprowadzili z Dyjakiem Arkadiusz Bartosiak i Łukasz Klinke. Bardzo dużo w tej książce szczerości, skromności i dystansu do siebie. O życiu poza mainstreamem, niechodzeniu na bankiety i niepojawianiu się na ścianach. Sporo opowieści o życiu prywatnym, ukochanej mamie, córce, z którą przez długi czas nie miał kontaktu. O byciu postrzeganym wyłącznie przez pryzmat alkoholizmu bądź jako facet, który się powiesił, przeżył, a potem zaczął śpiewać...

O wędkarstwie, które jest jego największą pasją, sąsiadach z Chełmem, w którym do dziś mieszka. Lubię też patrzeć na specjalną dedykację w tej książce od Pana Marka dla mnie.

Dużym i bardzo ciekawym zaskoczeniem było dla mnie zobaczenie Marka Dyjaka na dużym ekranie. Ma na swoim koncie interesującą rolę w serialu Rojst, w filmach *Jak zostałem gangsterem*, *Sąsiady i 25 lat niewinności*. *Sprawa Tomka Komendy*. Jestem pod ogromnym wrażeniem, jak bardzo autentyczny i naturalny jest w postaciach, jakie tam kreuje. Widać też – zwłaszcza w roli policjanta w Jak zostałem gangsterem – jego duże poczucie humoru.

Rok temu na koncercie w Stodole usłyszałam Marka Dyjaka zapowiadającego koniec swojej kariery. Jego trzynasty album *Na wzgórzach rozpacz* ma być ostatnią płytą. Czy naprawdę nie usłyszę już na żywo moich absolutnie ulubionych *Pierwszego śniegu* i *Piosenki w samej porę*, brawurowo wykonanej Rebeki czy rozdzierającej *Tej ostatniej niedzieli*?

„Ciągle mam nadzieję, że Marek zmieni swoją decyzję i nagra kolejne płyty w jego unikalnym stylu, określonym przez krytyków, jako polskiego fado. Nikt inny nie pisze i nie śpiewa w taki sposób o miłości”

– powiedział Janusz Palikot, przyjaciel artysty.

Jest w tym duża nadzieja.



IGA NADIA PIETRZAK

Plac Zbawiciela

a może Plac Hipstera czy Artysty?

Niektórzy nie wyobrażają sobie poranka bez gorącej kawy w najbardziej kultowym miejscu na mapie Warszawy. Inni nie byliby sobą, gdyby podczas przerwy w pracy nie skoczyli tam wraz ze współpracownikami na szybki lunch do wegańskiej knajpy. Co to za popularne miejsce? Mowa oczywiście o Placu Zbawiciela, nazywanym również „Placem Hipstera” czy też potocznie określonym jako „Zbawix” (głównie wśród młodzieży umawiającej się tam na spotkania – „11, kawa, Zbawix” i wiadomo, o co chodzi). Skąd wziął się fenomen tego miejsca? Kto tam przychodzi i jaką rolę dla warszawiaków odgrywa?

Zaczynimy od początku, kiedy około stu pięćdziesięciu lat temu nazwą placu była jeszcze „Rotunda”. Właśnie tu zaczęły zbierać się grupki warszawiaków chcących zaspokoić potrzebę towarzystwa i pragnienie alkoholu w najsłynniejszym wtedy lokalu – Czerwonej Karczmie. Spotkania w „Czerwonej” nie trwały wiecznie, gdyż 50 lat po jej powstaniu budynek został rozebrany, a na jego miejscu wybudowano kościół. Co ciekawe od tamtej pory Rotunda nigdy nie była już Rotundą. Nazwa placu wraz z budową kościoła Najświętszego Zbawiciela zmieniła się na Plac Zbawiciela, jaki znamy do tej pory. Czy budowa kościoła w tak rozrywkowym miejscu była odpowiednia? Z tego co można zauważyć zarówno osoby przychodzące się pomodlić, jak i te uczestniczące w spotkaniach towarzyskich, nie przeszkadzały sobie. W gruncie rzeczy plac można porównać do wielu starówek w polskich miastach, gdzie tak samo obok kościołów stoją restauracje i bary, pozostając w harmonii.

Wróćmy jednak do sytuacji Czerwonej Karczmy. Kultowa karczma została rozebrana, warszawiacy zostali bez ulubionej miejscowości. Ale spokojnie, bo właśnie chwilę później pobudowała się słynna włoska restauracja – Corso. Bywali tam dziennikarze, ludzie sztuki i znane osobistości, jak również warszawska młodzież, która wiedziała, gdzie chodzić i jak się ulokować. Tamtejsza młodzież pozostała w Corso, tylko że zaczęła zabierać tam swoje dzieci. A młodzi? Przenieśli się do powstałego później Planu B, który był i jest bardziej imprezowy.

Łatwo stwierdzić, że wraz z powstaniem Placu Zbawiciela od razu powstał jego fenomen. Ludzie szukali nowego miejsca do spotkań towarzyskich. Lecz swój największy rozkwit plac przeżył właśnie wraz z pojawiением się na mapie Warszawy wspomnianego wyżej Planu B, który z dnia na dzień stawał się coraz bardziej obiegany.

Zaczyna się nocne życie tego miejsca. Powstają słynne zdjęcia ludzi palących papierosy w modnych beretach i szalikach przed lokalami. Ludzie tańczą na chodnikach, wymachując przy tym szampanem, grają na akordeonach. Malują obrazy w lokalach, aż można stwierdzić, że wszystkie warszawskie dusze artystyczne zasiadają teraz w jednym miejscu. Jedni mówią, że to naprawdę dziwne miejsce z dziwnymi ludźmi, drudzy za to podziwiają je i są zauroczeni tą miejscowością nazywaną „pocztyką Warszawy”. Lecz żadna zabawa nie trwa wiecznie. Tak było też w przypadku tej.

Artyści i hipsterzy, będący stałymi klientami barów na „Zbawixie” w sobotnie wieczory, zaczęli się utwierdzać w przekonaniu, że to miejsce jest już zbyt popularne na mapie miasta i jako osoby chcąc się wyróżniać, zaczęli odwiedzać to miejsce rzadziej, lokując się na stałe w mniej znanych małutkich kawiarenkach. Lecz czy na pewno wszyscy odeszli? Oczywiście, że

nie. Jedni zostali tu z przyzwyczajenia, a inni dorosli i zaczynają poznawać to miejsce. Oprócz ogromnych grup nastolatków zasiadających w popularnej wegańskiej knajpie na Placu, można też zobaczyć wiele samotnie przesiadujących i pijących kawę malarzy czy muzyków. Właściwie przychodząc tu, spotkasz każdego. Z jednymi pogadasz o globalnym ocieplaniu, a z innymi o nowej wystawie w Zachęcie. Możliwe, że to właśnie przez ten różnorodny charakter, dość mocno wyrażany przez osoby chodzące tam na lunche, Plac Zbawiciela jest tak chętnie odwiedzany, nawet nie po to, aby wydać pieniądze na straszliwie drogą kawę, ale po prostu, aby się tam przespacerować.

MARTYNA KNYZIAK, FOT. HANIA WALESIENIUK

BLEND PODŚWIADOMOŚCI W TRZECH FILMACH

Motyw zagładania w ludzką psychikę przez reżyserów na szczęście dobrze się starzeje i produkcje sprzed kilku dekad nadal są aktualne. Trzy filmy, o których postaram się opowiedzieć, mają w sobie metafizyczno-mistyczne zacięcie, które wprowadza specyficzną atmosferę

Zeszłego roku w Marienbadzie

Zeszłego roku w Marienbadzie to filozoficzny manifest Resnaisa, wykład jego metody filmowej i przy okazji arcydzieło, kamień milowy światowego kina. Mężczyzna zamknięty w pięknej, może nieco klaustrofobicznej dla jego myśli, scenerii, próbuje przypomnieć kobiecie ich zesłoroczny romans. Głos/narrator opowiada historię z przeszłości, podczas gdy obraz pokazuje teraźniejszość. Hitchcock powiedział kiedyś, że podstawową zasadą reżyserii jest mówienie czego innego i pokazywanie czegoś innego. Czasem scenografia wyprzedza fabułę, a fabuła prześciga scenografię. To pokazuje, że już nie tylko „byt określa świadomość”, ale relacja jest wzajemna. Świadomość również projektuje byt i to nie tylko poprzez twórcze działanie/zmianę rzeczywistości/pracę, ale złudzenia/majaki/marzenia/niedoskonałość pamięci – to wszystko, co nazwałbym faktyczną metafizyką, która ma praktyczny wpływ na myślenie i działanie w rzeczywistości. Dlaczego nie można pogodzić ognia z wodą? Filozoficznego idealizmu (choćby miał podłożę biologiczne) z materializmem? Przecież marzenia, tak samo jak obraz, odbierany za pomocą wzroku, powstają w mózgu. Feuerbach i Marks chcieli wyrwać człowieka z kajdan metafizyki, którą traktowali jako złudzenie – a może metafizyka jest nieunkniona? Mityczna strona człowieka jest wbudowana w myślenie? Miłość to jedno z uczuć uwalniających specyficzny „mistyczny”. Poprzez zwrócenie uwagi na problem świadomości podatnej na złudzenia (ciągłe nieścisłości w czasie i miejscu akcji), Resnais podkreśla także możliwą równoległość różnych „czasów” – np. przeszłości, która działa w teraźniejszości tak silnie, że prawie zatraca swój charakter. „Czas jest rzeczywisty”, a „pamięć to świadomość” – Resnais pokazał to, o czym Henri Bergson pisał kilkadziesiąt lat wcześniej – „czas subiektywny” *Zeszłego roku w Marienbadzie* służy również jako meta-komentarz do samej istoty kina, które w swoich szczytowych momentach zamazuje w odbiorcy i sobie samym wyraźne granice między fikcją a rzeczywistością. Ukaże subtelną grę między czasem, przestrzenią a indywidualnym doświadczeniem. Jedna i ta sama historia toczy się w różnych czasoprzestrzeniach. Widać tu nieprzejednanie relatywistyczne podejście. Jeśli miałbym szukać jednej etykiety, byłby to... realizm magiczny. Film ten to przede wszystkim wspaniały przykład tego, że kreatywną stroną wizualną (budynek z innej epoki, posagowość milczących postaci, które zastygły w miejscu i czasie) można wznieść na wyżyny najprostszą historię (która – czego brakuje mi we współczesnym kinie – jest tylko pretekstem). Esencja: „Ten posąg przedstawia Karola III i jego małżonkę, którzy oczywiście nie pochodzą z tej epoki. (...) Stroje antyczne to prosta konwencja”. „W jakim miejscu? To nie ma znaczenia”.



Vertigo

Vertigo, czyli przede wszystkim wizualny majstersztuk. Takie detale jak skupienie uwagi widza na uczesaniu Kim Novak, proto-psychodeliczna sekwencja snu, niesamowicie sugestynna scena pocałunku zabarwiona na zielono (co pewnie miało sugerować jego oniryczny charakter) – mistrzostwo. Jeżeli miałbym spod pokładów różnych możliwości sprowadzić ten film do jakiegoś w miarę czytelnego mianownika, byłaby to „fantazja na temat kobiety”, zawsze projektujemy sobie wybrankę według nieco idealistycznej wizji. Zakończenie filmu sugeruje niemożność idealnego wypełnienia tej fantazji, dążenie do perfekcyjnej wizji kobiety, być może perfekcyjnej miłości – jest to niemożliwe (symbolizuje to końcu śmierć Novak). Dwoistość w osobowości Novak, czyli głównego obiektu obserwacji Stewarta, może także symbolizować jej psychikę. Być może jedna z tych postaci Kim jest jej podświadomością. Z drugiej strony, w pierwszej połowie filmu mieliśmy „fikcyjną podświadomość” – fałszywą historię z Hiszpanką z przeszłości. To równolegle historie. Kolejnymi równoległymi narracjami są lęk wysokości Stewarta i późniejsza próba wyleczenia się z niego. Przyczyną tego lęku może być równocześnie trauma po pościgu za przestępca jak i trauma po fałszywym samobójstwie Novak. Pod koniec filmu Stewart próbuje z nią sobie poradzić, ale najwyraźniej (tak jak z idealną kobietą) – ponosi porażkę. *Vertigo* można pewnie odczytywać na wiele sposobów, zresztą oprócz psychologizowania i wątku romantycznego, jest to także wspaniały thriller. To pomieszanie gatunków tworzy nową artystyczną jakość, której niewielu reżyserów potrafi sprostać, a mianowicie – o czym wspominał Truffaut – połączenie komercji z artyzmem.



Opętanie

Opętanie nie od razu odniósło sukces. Francuscy widzowie nie rozumieli filmu, którego akcja toczy się za żelazną kurtyną. Krytyka ganiła za histeryczność. Przedwcześnie opuszczając festiwal w Cannes, Andrzej Żuławski rzekł, że „jest to film pani Adjani”, która zdobyła wtedy pierwszą nagrodę. W jednej ze scen *Opętania* Anna kawałkuje mięso, stojąc nad płaczącym Markiem, który w tamtej chwili tracił zmysły. Scena imituje doświadczenie Żuławskiego, dające początek filmowi *Na srebrnym globie*. Miks psychologizowania z metafizyką i religią. Tam, gdzie kończy się ludzki dramat, zaczyna się dramat „kosmiczny”. Zło lub rozpad małżeństwa sportretowało Żuławski z obu poziomów, czysto codziennego i przybierającego postać szatana. Poziom drugi jest być może po prostu czystym surrealizmem, odzwierciedleniem chorej znerwicowanej wyobraźni Marka. Od początku atmosfera jest gęsta – zwłaszcza muzyka i specyficzna gra aktorska połączona z gdzieniegdzie obecnym symbolizmem ujęć (scena z rozbierania syna powtórzona później z Anną) podbija ten klimat. Do tego jeszcze powiązania Marka z wywiadem – totalna paranoja. Żuławski lubi szokować. Problem w tym, że za szokiem kryje się całkiem rozsądna refleksja – choć nie zawsze intelektualnie pobudzająca, to jednak przedstawiona w niepowtarzalny wizualnie sposób. *Freestyle* Godarda, szaleństwo Polańskiego.

JAKUB BIELECKI

ZAGINIONA DZIEWCZyna

analiza geniuszu Finchera



Związki z najbardziej uśmiechniętymi twarzami skrywają najgłębsze i najmroczniejsze tajemnice. Taka sytuacja miała miejsce w niefortunnym małżeństwie Nicka, granego przez Bena Afflecka i Amy Dunn, w której rolę wcieliła się Rosamund Pike. Ta wybitna ekranizacja bestsellera Gillian Flynn narodziła się z jej współpracy ze znany reżyserem – Davidem Fincherem. Mamy okazję zobaczyć na ekranie perypetie życia małżeńskiego dwojga ludzi, którzy krok po kroku zagłębiają się w pozorach i kłamstwach.

Otwierająca scena z filmu ukazuje Amy z punktu widzenia Nicka. Kolory są szare, na twarzy bohaterki widać strach, a myśli mężczyzny są ponure i pełne nienawiści. To ujęcie idealnie przedstawia relację, która obecnie łączy parę. Początek ich wspólnych chwil był stosunkowo niepozorny, zabawny i pełen zauroczenia. Życie młodej pary układało się świetnie, między innymi z powodu sukcesów Amy pochodzących z bestsellerowej serii książek *Amazing Amy*, opowiadających o życiu bohaterki. Tematyka książek przedstawiała wszystko, czym kobieta chciała być i czym świat chciał, żeby była. Ku zaskoczeniu widzów to rodzice byli jej autorami i obrazowało to niespełnione pragnienia dotyczące ich córki. Wierzę, że jednym ze źródeł niestabilności i problemów emocjonalnych zgorzkniałej kobiety były stawiane jej w dzieciństwie wymagania.

Wszystkie czyny popełnione przez Amy były napędzane jednym motywem – zemstą. Bohaterka robiła wszystko, aby sprostać oczekiwaniom Nicka, a mimo tego została zdradzona. Mężczyzna powoli niszczył zatracającą się w sobie Amy. Można pomyśleć, że w ten stan wpędziło go bezrobocie. Gdy człowiek traci coś, na czym mu zależało, pograża się w melancholii i wylewa swoją złość na innych, odpychając ich od siebie. W ten sposób płomień ciepła kochającego małżeństwa gasł i przerodził się w pożar nienawiści i pogardy.

Sławny monolog z filmu, w którym słyszymy i widzimy, jak do doszło do upozorowania zaginięcia Amy i jakie odczucia towarzyszyły kobiecie, pokazuje, że wszystko miało swój cel. Każdy ruch i sposób myślenia niewiernego mężczyzny został przez nią przemyślany. Fajna dziewczyna. Mężczyźni przecież kochają kobiety, prawda? Czy może jednak to wyobrażenie o sobie samym jest tym, co naprawdę lubią? Niektórzy uważają, że czyny Amy były zrozumiałe, inni przypisują jej miano szalonej i irracjonalnej, ale czy każdy ma w sobie dość samokontroli, aby być traktowanym jak popychadło i nic z tym nie zrobić? Uważam, że nie. Cytując kobietę, została okradziona z dumy, godności, nadziei i pieniędzy. Nick zabierał jej tyle, że przestała w końcu istnieć. To morderstwo. Niech kara będzie adekwatna do zbrodni. Ulubionym narzędziem Amy ze wszystkich, którymi się posługiwała, była manipulacja. Dzięki niej tak prosto było wykorzystać Desiego (Neil Patrick Harris) – jej prześladowcę, mężczyznę z obsesją na jej punkcie. Miłość była jego zgubą i elementem idealnie pasującym do układanki bohaterki. Za jego pośrednictwem tworzy się nowa część historii, świetnie pasująca do wersji wydarzeń „ocalałej”, którą podaje później na policji.

Zdarza się prawdziwy cud i Amy, cała we krwi rozbrzyganej na białej sukni, wraca po miesiącu zginięcia do Missouri – miejsca jej zamieszkania. Ludzie potrzebują dramatycznej historii, a Amy podaje im dokładnie taką na tacy. Ulubienica mediów, pozornie kochająca i pełna troski żona. W czterech ścianach znienawidzona przez własnego męża, tym razem przejmuje kontrolę. Role odwracają się.

Największy kontrast i przemianę bohaterkiauważamy pomiędzy pierwszym a ostatnim ujęciem. Teraz nie odczuwa strachu, a pewność siebie. Jej przeszywające na wylot oczy i uśmiech są wisienką na torcie. Jej cel został osiągnięty. David Fincher chciał podobno nakręcić prosty kryminał, ale wyszła mu mroczna przypowieść o tym, że najstraszliwszym horrorem jest życie z innymi ludźmi. I w tym tkwi prawdziwy geniusz.

ALEKSANDRA GUZIK

Dubbing w Polsce i nie tylko - historia i ciekawostki

Powszechną definicję dubbingu można odczytać chociażby z Wikipedii. Brzmi ona: dubbing to stosowany w postprodukcji filmów, seriali czy gier komputerowych proces podkładania głosów do już nagranego materiału. Opis ten jest oczywiście poprawny, lecz bardzo formalny. Ciężko podać dokładną definicję dubbingu, uwzględniającą cały proces nagrywania materiału i oddać atmosferę towarzyszącą osobom pracującym nad projektem, która jest specyficzna i różni się od pracy w teatrze czy na planie filmowym.

JAK TO SIĘ ZACZĘŁO?

Formalnie za pierwszy zdubbingowany i zarchiwizowany w Polsce film uznaje się *Królewnę Śnieżkę i 7 krasnoludków* z 1937 roku. Obecnie bardzo ciężko dokopać się do tego nagrania, gdyż zostało ono zastąpione tym z 2009 roku. Z pewnością nagrana w 1937 roku wersja brzmiałaby dziś dość dziwnie, przede wszystkim z powodu gorszych możliwości wyłumiania zbędnych odgłosów. Obecnie wyłumiające są same mikrofony, a w każdym studiu dubbingowym znajduje się specjalna pianka akustyczna. W przeciwnieństwie do krajów zachodnich, w Polsce dubbing nie jest aż tak popularną formą tłumaczenia materiałów. Jesteśmy jednym z niewielu krajów, w którym bardzo popularny jest lektor. Sam polski dubbing uznaje się powszechnie za całkiem dobry w porównaniu do innych krajów, a sporo produkcji w polskiej wersji językowej (w szczególności z wytwórni Disney i Dreamworks) zdobywało różne odznaczenia i nagrody.

Jeśli mówi się o początkach polskiego dubbingu (lata pięćdziesiąte, sześćdziesiąte), to nie można pominąć trzech, bardzo słynnych w tamtych czasach nazwisk Marii Piotrowskiej, Izabeli Falewiczowej i Zofii Dybowskiej-Aleksandrowicz. Te panie założyły tzw. „polską szkołę dubbingu”. Zmieniono wtedy zupełnie sposób nagrywania, wyposażenie studia dubbingowego i zaczęto przygotowywać aktorów do poprawnego użyczania głosu w produkcjach. Nagrywanie dubbingu po tych zmianach i tak bardzo różni się od obecnego, lecz był to wielki przełom, który przypadł na lata 60. XX wieku. Dubbing w tamtych czasach w Polsce stał się niezwykle słynny i świetnie oceniany, tak jak działało się to przed II wojną światową. Dubbingowano praktycznie wszystko. Od zwykłych filmów i seriali po nagrane sztuki teatralne! Obecnie ilość dubbingowanych materiałów zdecydowanie zmniejszyła się, gdyż takie formy użyczania głosu zupełnie by się nie przyjęły.

KTO, GDZIE I JAK TWORZY DUBBING W POLSCE?

Do nagrania dochodzi w specjalnych studiach dubbingowych przygotowanych do takiego typu pracy zarówno akustycznie, jak i estetycznie. Jeśli chodzi o Polskę, studia dubbingowe znajdują się w większości w Warszawie, a dokładniej na Mokotowie. Na studio dubbingowe składa się zawsze kilka pomieszczeń do nagrywania materiałów, pomieszczenia, w których przebywa reżyser i realizator nagrań, oraz pomieszczenia biurowe. Osoby pracujące nad powstawaniem dubbingu to zawsze aktorzy dubbingowi (najczęściej są to też aktorzy teatralni, radiowi), reżyser (często są to również aktorzy), realizator dźwięku i montażysta (może to być ta sama osoba), kierownik produkcji oraz, jeśli w materiale są piosenki, kierownik muzyczny. Castingi do dubbingu z reguły nie są nigdzie publicznie ogłoszane (wyjątkiem jest aplikacja PRODUB), toteż ciężko się na nie dostać zupełnie z zewnątrz. Producent danego filmu, serialu, przedstawia na początku rozpoczęcia prac nad materiałem wymagania dotyczące postaci, na które ma odbyć się casting. Później kierownik produkcji wraz z reżyserem zapraszają aktorów na casting lub od razu do konkretnej roli. Rozpoczynają się nagrania, których czas trwania zależy od długości materiału oraz tego jak bardzo wymagający jest projekt. Proces tworzenia dubbingu w innych krajach jest bardzo podobny.

DOŚĆ UKRYTA FORMA TWORZENIA

Dubbing cały czas stanowi dość zagadkową formę pracy i wiele osób stawia sobie dużo pytań dotyczących podkładania głosu. Powodem często jest to, że nie widzimy aktorów dubbingowych, jak ma to miejsce np. w teatrze. Nie możemy się z nimi w żaden sposób utożsamić, a jedynie obserwować poczynania postaci, które odzywają się głosem danego aktora. Sprawia to, że często nie można sobie wyobrazić twarzy aktora/aktorki po samym głosie tej osoby. Wyobrażenia widzów mogą być zupełnie odrębne od rzeczywistości.

Sam dubbing wzbudza też mieszane uczucia. Niektórzy go uwielbiają, szczególnie w kreskówkach. Inni zdecydowanie preferują oryginalne wersje językowe. Świat w tym temacie był, jest i będzie podzielony.

TROCHĘ O ZAGRANICZNYM DUBBINGU...

Istnieją kraje, w których dubbing jest tak dominującą formą gry aktorskiej, że do praktycznie każdego filmu i serialu zagranicznego, niezależnie czy to kreskówka, czy materiał przeznaczony dla starszych odbiorców, podkłada się głos. Przykłady takich krajów to m. in.: Australia, Chiny, Czechy, Francja, Kanada, Włochy czy Hiszpania.



W innych krajach zaś forma dubbingu stosowana jest tylko w produkcjach dla najmłodszych widzów i to tylko w kreskówkach. Przykłady takich krajów to m.in.: Grecja, Holandia, Norwegia, Portugalia, Szwecja, Turcja czy Indonezja. Wbrew pozorom również Stany Zjednoczone większość materiałów opracowują w wersji z napisami.

Polska jest jednym z nielicznych krajów z tak rozpowszechnioną postacią lektora, który występuje w większości filmów tłumaczonych w polskich wersjach. Wyjątkiem są kina, gdzie można obejrzeć filmy z napisami lub dubbingiem. Innymi przykładami takich krajów jak są np.: Estonia, Łotwa czy Bułgaria.

Dominująca forma opracowań językowych zależy też w jakim stopniu od kultury danego kraju, jego położenia (kraje wschodnie posiadają przede wszystkim lektora) i zapotrzebowania widzów.

KILKA CIEKAWOSTEK O POLSKIM DUBBINGU

Pierwsza ciekawostka dotyczy dubbingu do gier. Może nie każdy wie, że podczas podkładania głosu do gier komputerowych, aktorzy słyszą jedynie głos swojej postaci. Nie widzą jej na ekranie – ani jak się porusza, ani jaką ma mimikę twarzy. Aktorzy muszą zdać się jedynie na swoją wyobraźnię, co jest bardzo ciekawym i specyficznym doświadczeniem.

Obecnie w dubbingu materiały aktorzy nagrywają pojedynczo. Wtedy w studiu jest obecny aktor, reżyser i realizator dźwięku. Wyjątkiem są nagrania gwarowe, polegające na odgrywaniu głosów tłumu, szemrzącego gdzieś w tle filmu czy serialu. Dawniej jednak było zupełnie inaczej. Aktorzy zbierali się w grupach i do jednego mikrofonu grali razem całą scenę. Materiał był nagrywany na taśmie, toteż nie było możliwości przesunięcia czy wydłużenia/skrócenia kwestii. Jeśli ktoś się pomylił, scenę trzeba było grać od początku.

Warto wspomnieć również o tym, że podczas nagrań dubbingu do bardziej znanych produkcji, takich jak *Star Wars* czy filmy Marvela, aktorzy widzą jedynie głowę swojej postaci lub jakiś mniejszy fragment całego obrazka. Wynika to z konieczności jak najmniejszej wiedzy o materiale, przed ukazaniem go w kinie. Poufność na temat nieopublikowanych jeszcze produkcji jest w dubbingu powszechna, a aktorzy zawsze muszą podpisać umowę, w której zobowiązują się do niezdradzania publicznie fabuły lub innych informacji dotyczących materiału.

Dubbing jest dość trudną i bardzo odpowiedzialną pracą, w której aktorzy zawsze muszą mieć z tyłu głowy, że musi on trafić do widzów, a oni nie mogą swoim głosem przeszkadać odbiorcom w oglądaniu. Czasem się to udaje, czasem nie, ale słowa, które warto powtarzać i które są ogólnie znane środowisku dubbingowemu brzmiają: „Dobry dubbing to taki, którego nie słychać podczas oglądania”. Chodzi tu oczywiście o tak dobre podłożenie głosu, które w żaden sposób nie przeszkodzi odbiorcy w skupieniu się na fabule.

FRANEK ZELNIK

SZARE BUDYNKI

i kolorowe obrazy, czyli art déco w Polsce

Po kilku miesiącach nadal wracam do październikowego festiwalu KFAS. Przede wszystkim do jego tematyki – lat 20. W dwudziestoleciu międzywojennym narodził się nowy styl w sztuce, *art déco*. Nazwa pochodzi z języka francuskiego: *art*, czyli sztuka i *décoratif*, czyli dekoracyjny. Sztuka jako samo pojęcie może być kolorowa, ale nie musi. Często nawet nieświadomie zwracamy na nią szczególną uwagę, przyglądamy się jej. Podobnie było, kiedy poznaliśmy tajniki tego stylu. Zauważam, że budynki wybudowane w tamtych czasach są w raczej stonowanych kolorach, podczas gdy świat malarstwa otworzył nowy rozdział możliwości i kolorów. Jak to możliwe?

HISTORIA

Znajdujemy się w czasach po I wojnie światowej. Czasach zmian i pojawienia się nowych stylów w sztuce europejskiej. Od kolorowej i szalonej architektury secesyjnej oraz stonowanego malarstwa secesyjnego przechodzimy do zupełnie innej estetyki *art déco*. Efekt ten pokazuje jak bardzo powaga i żal po wojnie oddziaływały na ludzi i jak potrzebna była zmiana. Ulice stały się poważne, smutne, wręcz można powiedzieć perfekcyjne, podczas gdy malarze odkrywali nowe, inne, nietypowe, pełne kontrowersji warstwy życia. Przełomowe obrazy *art déco*, sprawiały, że ludzie odchodzili od myśleć o wojnie i zaczynali myśleć o przyszłości pełnej nadziei, spokoju i odnalezienia siebie. Tak można właśnie określić *art déco* – stylem przeszłości.

Przełomowym wydarzeniem dla polskich artystów *art déco* była wystawa w Paryżu, która wydarzyła się w 1925 roku. Zdobyli tam 172 nagrody.

ARCHITEKTURA

Patrząc na polskie budynki secesyjne (na przykład na kamienicę Rackmana w Warszawie), dostrzegłam miks kolorów, struktur budynków czy złocenia – jednym słowem szaleństwo. Niestety szaleństwo nie zawsze równa się funkcjonalności, co widzimy, porównując ze sobą *art déco* i secesję. W dwudziestoleciu międzywojennym skupiano się na symetrii, geometrii, futuryzmie, ale też powrocie do dawnych stylów. Budynkiem, który jest najlepszą definicją tego stylu, jest Budynek Dyrekcji Naczelnnej Huty w Stalowej Woli. Do dziś stoi właśnie tam, w świetnym stanie. Budynek jest symetryczny, wręcz przypomina prostosłup. Kształt ten mają też kolumny wokół całego budynku, całość dopełniają prostokątne okna czy ciemne, niekontrastujące ze sobą kolory. Spoglądanie na budynek jest jak odkopanie kapsuły czasu, ale środek jest również zachwycający. Sen o prostokątnym kolumnach nie kończy się bowiem na zewnątrz. W środku również je znajdzicie, na dodatek marmurowe. Wszystko ma swój kształt i jest dopracowane delikatnymi szczegółami – często szklanymi dekoracjami czy futurystycznymi wykończeniami. Warto podkreślić, że fala *art déco* na świecie różniła się od tej w Polsce.



W USA w przeciwieństwie do niepodległej Polski, budowle pozostały kolorowe po czasach secesji. Jednak budynek ze Stalowej Woli to nie jedyny budynek z tamtych lat, który jest zachowany w świetnym stanie do dziś. Polecam zrobić wycieczkę po Warszawie, żeby choćby z zewnątrz zobaczyć Muzeum Narodowe, obecną siedzibę Ministerstwa Edukacji Narodowej czy Bank Gospodarstwa Narodowego.

MALARSTWO

Gdybym miała wybrać między obrazami z czasów secesyjnych, a obrazami z czasów *art déco*, nie podjęłabym żadnej decyzji. Głównie przez to, że bardzo się od siebie różnią. Secesyjne są stonowane, a każdy drobny szczegół w nich jest dopracowany, te utrzymane w estetyce *art déco* są kolorowe, futurystyczne, proste, a jednocześnie skomplikowane.



Zauważam też, że najbardziej znymi malarzami secesyjnymi są mężczyźni, a *art déco* to czasy kobiet i feminizmu. Kobiecość jest nie tylko tematem obrazów, ale też to czasy kariery malarek – przede wszystkim najbardziej znanej malarki tych czasów, Polki, która zrobiła karierę międzynarodową, Tamary Łempickiej. To właśnie *Autoportret w zielonym Bugatti* czy *Kobieta w zielonej sukni* przyniosły jej sławę. Jeden i drugi obraz jest wyrazisty, futurystyczny i kolorowy. Coś, co często można dostrzec na obrazach z tamtych czasów, to efekt ciała i twarzy wyglądającej jak rzeźba, a także poczucie przemijania i ruchu towarzyszące w czasie oglądania obrazu. Warto też dodać, że *Autoportret w zielonym Bugatti* został zakupiony przez magazyn „Die Dame” jako okładka świętująca niepodległość kobiet. Patrząc na kobiety na obrazach *art déco*, czasami myślę o kilka dekad później spopularyzowanym pojęciu *femme fatale*, czyli kobiety niezależnej, walczącej, a czasami niebezpiecznej i nieprzewidywalnej. Ciała kobiet na obrazach są realistyczne i prawdziwe. Widać to również w aktach Łempickiej takich jak *Grupa czterech aktów* czy *Kobiety w kąpieli*. Inne znane artystki *art déco* to Aleksandra Ekster czy Zinaida Sierebraikowa, których obrazy były nietypowym i swobodnym szlakiem *art déco*. Znane i kultowe są też prace męża Fridy Kahlo, Diego Rivery, choć to Tamara Łempicka zapisała się najbardziej w historii tego prądu w malarstwie.

ART DÉCO DZISIAJ

Mimo że minął już prawie wiek od dominacji tego stylu, nadal wnętrza inspirowane *art déco* są bardzo popularne, a w filmach i innych formach sztuki wracamy do tego stylu. Projektanci z dzisiejszych czasów są nadal zakochani w geometrii, tak samo jak ich klienci. *Art déco* jest wśród nas, nawet wtedy, gdy tego nie zauważamy.

JULIA WIĘCH





11 DNI STRACHU

Gdzie jest Agatha Christie?

Wyobraźmy sobie pogodny wieczór na początku grudnia 1926 roku. O 21.30 w piątek 3 grudnia z przepięknej posiadłości Sunningdale w Berkshire, hrabstwie nieopodal Londynu, wychodzi kobieta w średnim wieku. Jest nią najpopularniejsza pisarka świata, Agatha Christie, autorka kryminałów. Kobieta wsiada do samochodu i odjeżdża w mrok srogiej, angielskiej zimy. Jest zdenerwowana, przed chwilą pokłóciła się z mężem Archibaldem.

Nie zobaczymy jej przez następne 11 dni...

W tamtym momencie Christie była już bardzo popularną autorką. Na koncie miała 6 książek, m.in. *Tajemniczego przeciwnika*, jedną z jej najbardziej uznanych książek. Na początku kariery autorka eksperymentowała z wieloma głównymi postaciami, dopiero w późniejszych latach królowa kryminału skupiła się na detektywie Herkulesie Poirot i pannie Marple. To właśnie powieściami z wąsatym Belgiem zyskała największe uznanie. Córka Christie w momencie jej zaginięcia miała 7 lat i to ona była ostatnią osobą, która widziała pisarkę. Archibald wyszedł z domu chwilę przed Agathą, jadąc na weekendową wycieczkę ze znajomymi.

Minął dzień, a Christie dalej nie wracała do Sunningdale. Sekretarka autorki, jedyna dorosła osoba, która została w rezydencji, nie miała z nią kontaktu.

Zaginięcie Agathy zostało zgłoszone w sobotę wieczorem

Media przez weekend nie wiedziały o zniknięciu mistrzyni kryminału, ale policjanci ze Scotland Yardu prowadzili już poszukiwania. W niedzielę 5 grudnia śledczy odnaleźli samochód, którym Christie opuściła posiadłość. Znajdował się na poboczu, niedaleko posiadłości autorki *Morderstwa w Orient Expressie*. Miał włączony silnik i światła, w środku znajdowała się torebka kobiety oraz jej płaszcz i prawo jazdy.

O odkryciu policji media dowiedziały się dopiero następnego dnia. Artykuł o zniknięciu Agaty Christie trafił na pierwszą stronę „New York Timesa”, wywołując krajową恐慌. Wielka Brytania zaczęła szukać.

Poszukiwania zostały odwołane zaskakując wcześnie. Szwagier pisarki poinformował policję o otrzymaniu przez niego listu od Agaty, w którym ta informuje go o jej wyjeździe do SPA. Panika odwołana, wszystko wraca do normy.

Sprawa zamknięta, czyż nie?

Policjantów nie przekonał list od szwagra autorki (nie znamy dokładnych przyczyn tego braku zaufania) i zaostrzyli poszukiwania. Po trzech dniach od pojawienia się listu wśród policji pojawiły się pierwsze podejrzenia dotyczące samobójstwa kobiety. To właśnie wtedy potwierdziło się, że list do szwagra był fałszywy. Niedaleko miejsca pozostawienia samochodu znajdowało się jezioro, w którym Christie miała rzekomo się utopić. Motywem miały być problemy psychiczne autorki. Z zeznań jej znajomej wiemy, że Agatha bała się, że jej własny dom jest nawiedzony przez duchy. Rezydencja Christie, Sunningdale, była świadkiem morderstwa oraz samobójstwa. Później dowiemy się, że w jednej z rozmów z przyjaciółką Christie wyznała:

„Jeśli nie opuszczę Sunningdale jak najszybciej, Sunningdale będzie moim końcem”

Policja dowiedziała się o trzech listach od Agathy, które otrzymali jej przyrodni brat, sekretarka oraz mąż. Nigdy nie dowiemy się, jaką była treść listu do męża Archibalda, ponieważ ten odmówił ujawnienia tej informacji. Podejrzewa się, że Agatha w liście wytykała mu zdradę z Nancy Neele, młodszą o 10 lat kobietą, którą poznał w trakcie jednego ze służbowych wyjazdów. To ona była przyczyną żądania rozwodu, a zatem i przyczyną kłótni wieczorem 3 grudnia. To z nią wyjechał Archibald 3 grudnia pod pretekstem spotkania ze znajomymi. Dzięki listowi do sekretarki policjanci dowiedzieli się o wątpliwościach i rozterkach pisarki związanych z jej rezydencją. Christie napisała:

„Muszę uciec. Nie mogę zostać ani dnia dłużej w Sunningdale”

Policjanci byli na tyle zdesperowani, że prosili o pomoc każdego, również innych pisarzy. Zaangażowani zostali Artur Conan Doyle i Dorothy Sayers, dwoje mistrzów kryminału, jednak ich starania poszyły na marne. Mundurowi w pewnym momencie przyprowadzili nawet psa autorki w miejsce, w którym odnaleźli auto. W najbardziej intensywnym momencie poszukiwań, 13 grudnia, zaangażowanych było ponad 10 tysięcy policjantów i setki cywili. Do dziś jest to największa obława w historii Wielkiej Brytanii. Cała brytyjska policja żyła tym śledztwem, jednak to nie ich starania doprowadziły do królowej kryminału.

14 grudnia 1926 roku Scotland Yard otrzymał informację od głównego kelnera SPA w Harrogate, jakoby ten wśród gości rozpoznał kobietę do złudzenia przypominającą Agathę Christie. Była ona zameldowana jako Theresa Neele. Policjanci wraz z mężem autorki pojechali do Yorkshire, hrabstwa, w którym znajdował się hotel. Archibald Christie usiadł w rogu jadalni, by rozpoznać, czy kobieta podająca się za Theresę Neele jest jego żoną. Kobieta usiadła przy stole i zaczęła czytać gazetę. Archibald bez wahania potwierdził, że to ona. Gdy podszedł do jej stolika, by się z nią przywitać, Agatha wyglądała na zaskoczoną i nie rozpoznała męża.

Tak czy inaczej – Christie po 11 dniach została odnaleziona

Policjanci od razu chcieli się dowiedzieć, co się działo przez te 11 dni z autorką *Pięciu małych świń*. Byli przekonani, że Agatha od razu wszystko im opowie i będą mogli od razu podjąć się schwytyania ewentualnego porywacza. Jednakże ani przeprowadzone śledztwo, ani wielokrotne rozmowy i przesłuchania pisarki nie dawały skutku. Agatha nie pamiętała tych wydarzeń lub nie chciała pamiętać. Tego się nie dowiemy.

W związku z brakiem rozwiązania pojawiły się rozmaite teorie wśród fanów, znajomych, mediów czy samych policjantów. Niektóre z nich były od razu dementowane, jednak inne do teraz wydają się prawdopodobne.

Pierwsza z nich ma związek ze zdradą męża, Archibalda. W momencie zniknięcia Agathy nie było go w domu. Udał się na weekendową wycieczkę wraz ze znajomymi. Wśród nich była Nancy Neele, jego kochanka. Rozwścieczona propozycją rozwodu, którą złożył jej Archibald, i wiedząc o jego zdradzie, Agatha zdecydowała się upozorować własne zniknięcie, by zniszczyć mu życie. Wyglądało ono jak wyjąte z jednego z jej dzieł. Z tą teorią zgadzałby się fakt, że Christie zameldowała się w hotelu w Harrogate pod nazwiskiem Neele, by dopiec mężowi. Dwa lata później małżeństwo się rozwiodło.

Według drugiej teorii sytuacja psychiczna Agathy była dramatyczna. Agatha po propozycji rozwodu nie widziała wyjścia z sytuacji i stanęła na skraju samobójstwa. Zgadzałoby się to z miejscem porzuconego samochodu. Druga wersja tej teorii zakłada, że Agathę dopadło zaburzenie psychiczne zwana fugą dysocjacyjną. Osoby nią dotknięte pragną uciec z dotychczasowej sytuacji, porzucić poprzednią tożsamość. Objawem tej choroby jest amnezja po powrocie, co wyjaśniałoby, dlaczego Agatha nie była w stanie opisać wydarzeń, jakie ją miały miejsce. Z drugiej strony, chociaż zdarzają się takie przypadki, fuga rzadko trwa dłużej niż 5 dni.

Tą dwie najpopularniejsze teorie bądź ich wersje. Oprócz nich spotkałem się z teorią, jakoby Christie upozorowała swoje zniknięcie w celu promocyjnym. W obecnych czasach widujemy różne akcje promocyjne. O Christie mówił cały świat. Nie pasuje mi jednak ta teoria. Pisarka w żadnym momencie swojej kariery nie była zagrożona spadkiem popularności, a tak radykalna akcja promocyjna byłaby bezcelowa. Ale kto wie?

Zniknięcie Agathy Christie od 96 lat pozostaje wielką tajemnicą. Poświęcone są mu książki, artykuły, jednak nigdy nie dowiemy się, co się działo między 3 a 14 grudnia 1926 roku.

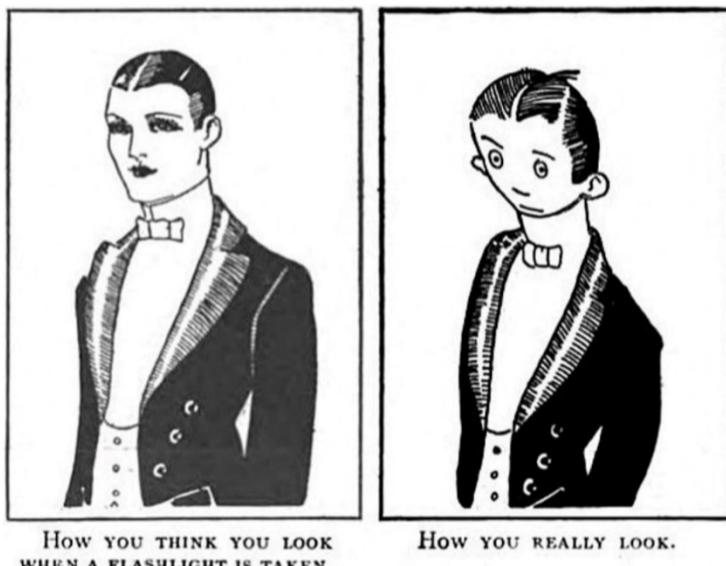
GUSTAW SZASZKIEWICZ

HISTORIA MEMÓW

Mem – pewnie znacie dobrze to pojęcie. Obrazki, które mają za zadanie wywołać uśmiech na naszych twarzach. Znaleźć je możemy wszędzie – w każdym zakątku Internetu, ale nie tylko. Choć wszyscy je znają, to nie każdy wie, skąd tak naprawdę się wzięły. Dlatego też zapraszam wszystkich na krótki przewodnik po świecie memów.

GDZIE POCZĄTEK?

Wszystko zaczyna się w latach 20. XX wieku, kiedy to amerykański magazyn „Judge” w jednym ze swoich wydań opublikował pierwszego w historii mema. Przedstawiał dwa obrazki porównujące wygląd pewnego jegomościa w momencie robienia zdjęcia z lampą błyskową. Żart polega na tym, że na obrazku po lewej człowiek wygląda zjawiskowo, zaś po prawej przedstawiony jest jego prawdziwy, rozczarowujący wizerunek. Sam schemat owego memu jest dość popularny nawet w dzisiejszych czasach. Można powiedzieć, że „oczekiwania vs rzeczywistość” do dziś trzymają fason.



Sam wyraz „mem” funkcjonuje w społeczeństwie od 1976 roku. Stworzył go Richard Dawkins w swojej książce *Samolubny gen*. Jednostka ta, dzisiaj dobrze nam znana, porównana została do genu, który jak w ewolucji biologicznej, jest najmniejszą jednostką informacji – nie genetycznej, lecz kulturowej. Początkowo można pomyśleć: „Co za głupie porównanie!”, jednak teoria Dawkinsa faktycznie ma sens. Podobnie jak nasze geny, memy wielokrotnie się replikują, a także mutują, są przekazywane między ludźmi. Tym sposobem mogą przetrwać oraz stale rozwijać się w Internecie i poza nim.

„Komary” żądły śmiertelnie...

HISTORIA ATAKU NA PEARL HARBOR

7 grudnia 1941 roku to przełomowa data, która przesądziła w pewien sposób o wyniku II Wojny Światowej.

JAPOŃSKI ATAŁ NA PEARL HARBOR

W Europie wojenna pożoga trwa, a Państwa Osi – czyli Niemcy, Włochy i Japonia – czują się coraz pewniej na wszystkich frontach. 5 grudnia 1941 roku fiaskiem kończy się agresja III Rzeszy na ZSRR, czyli plan „Barbarossa”. Po niemieckiej agresji Związek Radziecki przystępuje do wojny przeciwko Państwom Osi. USA wciąż zachowuje jednak neutralność, co najwyżej deklarując sympatię wobec antyfaszystowskiej koalicji. Dlatego m.in. prezydent Roosevelt nie pomaga Brytyjczykom i premierowi Churchillowi w przeprowadzeniu operacji „Dynamo” (czyli ewakuacji wojsk alianckich z Dunkierki położonej nad Kanałem La Manche, co ma miejsce wiosną 1940 roku). Stąd tak ważnym wydarzeniem dla przebiegu II Wojny Światowej jest

WĘDRÓWKA MEMÓW DOOKOŁA ŚWIATA

Jak można się domyślać, memy zyskały na popularności wraz z rozwojem Internetu. Początki lat 90. XX wieku przyniosły im rozgłos na świecie. Dlatego też powstały pierwsze fora, na których wymieniano się memami. Na początku XXI wieku stworzono takie fora jak 4chan – środowisko naturalne Trollface'a (rysunkowy mem przedstawiający uśmiechniętą twarz) oraz rickrollingu (puszczanie piosenki *Never Gonna Give You Up* w zaskakujących momentach), Reddit czy też media społecznościowe takie jak Facebook i Myspace. Internautom bardzo spodobał się format komediowych obrazków rozpowszechnianych na wielu stronach internetowych. Właśnie tam powstały jedne z najbardziej znanych i kultowych memów. Z biegiem czasu wygenerowały się podstawowe rodzaje memów używane do dziś – proste i złożone. Jak sama nazwa wskazuje, memy te mają różny poziom trudności ich zrozumienia. Proste mają jasny, widoczny dla każdego przekaz, zaś złożone rozśmieszają jedynie osoby posiadające głębszą wiedzę na dany temat. Memy nie zawsze muszą być obrazkami. Kiedy trochę się posiedzi na Youtubie i TikToku, odnaleźć można także filmiki, które także należą do owego gatunku. Niegdyś bardzo popularny był serwis Vine, na którym ludzie zamieszczali krótkie filmiki, jednak internauci o tej aplikacji zapomnieli. Pomimo wyginięcia Vine'a, filmiki, które się na nim znajdowały, nadal krążą w sieci i mają wierne grono fanów. Aktualnie istnieje mnóstwo rodzajów memów, ponieważ Internet jest dostępny praktycznie wszędzie. Wraz z jego rozpowszechnianiem, coraz to więcej ludzi interesuje się memami.

W POSZUKIWANIU ŹRÓDEŁ

Jest wiele źródeł, z których internauci czerpią pomysły na memy. Jesteśmy niezwykle przenikliwi, kiedy przychodzi do patrzenia na świat przez pryzmat żartu. Najczęściej memy rodzą się z filmów, seriali, czy też bajek powyjęciu jakiejś sceny z kontekstu. Przykładowo swoją chwilę sławy przeżywała jakiś czas temu scena z serii filmów *Star Wars*, w której Anakin oraz Padme dyskutują o systemie władzy w ich świecie. Widzów rozbawiły twarze aktorów podczas tej sceny. Dlatego też powstało mnóstwo memów na jej podstawie. Naturalnie chęć tworzenia memów nie poprzestaje na samych postaciach z filmów. Dobre materiały na mem istnieją także w prawdziwym życiu. Celebryci, youtuberzy, politycy czy nawet zwierzęta stanowią nieskończoną źródło kontentu. Nie możemy również zapomnieć o artystach, którzy tworząc memy, wiernie odwzorowują nasze zachowania i emocje. Instagram, Pinterest czy też Facebook przepelnięte są zabawnymi komiksami, które pokazują kreatywność współczesnych twórców.

Memy stały się ikoną naszego pokolenia. Są istotnym elementem komunikacji między ludźmi. Uwielbiamy memy, ponieważ pozwalają nam wyrazić siebie w unikalny sposób – Twoja babcia może w końcu życzyć wszystkim smacznej kawusi, ty możesz wysłać mema osobie, która od dawna ci się podoba. Czasem jeden mem wywołuje konflikt w komentarzu pod postem, czasem jednak jakąś grupę ludzi. Memy na długo zostaną wśród nas, to pewne.

MARIA JUŻKÓW

atak Japonii na amerykańską bazę na Hawajach – Pearl Harbor, rozpoczęty wojnę między Państwami Osi a Koalicją Antyhitlerowską na kolejnym froncie. Od tej chwili Stany Zjednoczone nie mogą dłużej zachowywać bierności. Zaatakowana potęga militarna i gospodarcza wolnego świata zostaje zmuszona do działania.

W ciągu zaledwie dwóch dni do wojny przystąpiły dwa, dotychczas rywalizujące ze sobą, globalne mocarstwa, opowiadając się przeciwko państwom osi.

CO SIĘ STAŁO 7 GRUDNIA 1941 ROKU?

O’ahu, Hawaje, Stany Zjednoczone, główna baza amerykańskiej floty pacyficznej. Wyspa znajduje się na środku Pacyfiku, oddalona jest od Los Angeles w Kalifornii o 4130 kilometrów. 7 grudnia 1941, godzina 3:42 dowódca okrętu wojennego USS „Ward”, kapitan Husband Edward Kimmel dostaje zgłoszenie o dostrzeżonym peryskopie wychylonym nad taflą wody kilka kilometrów od bazy Pearl Harbor. USS „Ward” po godzinnych bezskutecznych poszukiwaniach nieznanego okrętu

HISTORIA

podwodnego przerywa akcję. Dwie godziny później USS „Ward” otrzymuje kolejny dziwny meldunek: statek zaopatrzeniowy wypatrywał kiosk (czyli nadbudówkę) niezidentyfikowanego okrętu podwodnego. Godzina 6:37 załoga US Navy dostrzega nietypowy, gdyż zaledwie 25-metrowy okręt podwodny. USS „Ward” otwiera ogień, niemniej pierwszy strzał z działa numer jeden jest niecelny i pocisk przelatuje nad celem.

Drugie trafienie jest wątpliwe, nie ma jednak wątpliwości, że w Pearl Harbor trwają nietypowe aktywności obcych okrętów.

Godzina 7:35. To wówczas na uśpiątą bazę Pearl Harbor spadają pierwsze japońskie bomby.

Jednocześnie Japończycy odpalają torpedę, celując w USS „Curtiss”. Chybia. Kolejna chybiona japońska torpeda mija o 50 metrów niszczyciel USS „Monaghan”. „Monaghan” taranuje MOP (miniaturowy okręt podwodny) i miażdży go.

Zaledwie kilka z około 390 samolotów *US Air Force* zdołało wzbić się w powietrze – pozostałe zostały zniszczone przez Japończyków na lotnisku. Te, które przystąpiły do walki, zostały zniszczone przez bardzo zwinne samoloty Mitsubishi A6M0 „MOSKITOS”.

Godzina 9:35 koniec japońskiego ataku. Japończycy do jego przeprowadzenia użyli pięciu miniaturowych okrętów podwodnych. Do dziś znaleziono wraki zaledwie czterech z nich. Z piątym wiąże się pewna zagadka. Podczas ataku zostaje zatopiony siedmioma torpedami oraz dwoma bombami lotniczymi pancernik USS „West Virginia”.

Torpedy w stronę pancernika miały wystrzelić właśnie owa piąta, do dziś nieodnalezione, japońska łódź podwodna. Tak można wnioskować, analizując wykonaną przez japoński samolot fotografię pola bitwy, na której widać tak zwane „pióropusze” wywołane mechanizmem napędowym miniaturowych okrętów podwodnych.

Atak na Pearl Harbor nie był tylko nalotem. Wiele osób bardzo skupia się na wydarzeniach w powietrzu, gdzie bazę bombardowały japońskie myśliwce. Natomiast kluczowe dla przebiegu wydarzeń było to, co działało się pod wodą – miniaturowe okręty podwodne zatopiły okręty marynarki. Za „porażkę” Amerykanów można obwiniać kilka osób, jednak przede wszystkim dowódców, Husbanda E. Kimmela oraz Waltera Shorta. Byli to dobrzy, doświadczeni oficerowie, jednak myśleli realiami I Wojny Światowej, nie docenili do końca możliwości oferowanych

przez nowoczesne techniki wojenne. Innymi słowy, Amerykanie w Pearl Harbor zbagateliowali przeciwnika. 5 pancerników, 2 niszczyciele, 188 samolotów oraz 2345 osób zmarłych, to straty Amerykanów w omawianym ataku.

SKUTKI ATAKU

Wydarzenia z 7 grudnia 1941 roku pociągnęły za sobą wiele skutków. Przede wszystkim to, co wydarzyło się w „Perłowej Przystani” miało ogromny wpływ na dalsze losy wojny. Do wojny przystąpiło mocarstwo, które stanęło po stronie aliantów. Koalicja Antyhitlerowska zyskała potężnego sojusznika. Japonia wygrała bitwę, a najważniejsze okręty i lotniskowce Stanów Zjednoczonych w momencie ataku, wbrew utrwalonej opinii, nie znajdowały się w głównej bazie na Hawajach. Głównym celem Cesarstwa było zniszczenie floty amerykańskiej, co się nie udało. Atakując Pearl Harbor, Japonia... przegrała wojnę, m.in. ponosząc w konsekwencji kolosalne straty cywilne w Hiroszimie i Nagasaki, gdzie zginęło ponad 200 tysięcy osób.

Również Berlin nie był zbyt zadowolony z decyzji azjatyckich sojuszników. Niemcy liczyli bowiem na to, że Japończycy zaatakują ZSRR!

Niemniej w zaistniałej sytuacji już 11 grudnia 1941 roku Hitler oficjalnie wypowiedział wojnę Stanom Zjednoczonym. Jako ciekawostkę można dodać, że jedna z teorii spiskowych dotyczących ataku głosi, że Amerykanie wiedzieli o ataku i celowo tak późno zareagowali, by mieć pretekst do przyłączenia się do wojny. Jednak to tylko mało przekonujące domysły.

Dla świata głównym skutkiem ataku była całkowita zmiana układu wojennych sił. Amerykanie zaangażowali się na froncie europejskim, a w dodatku prowadzili wojnę na Pacyfiku, znaczco przyczyniając się do kapitulacji III Rzeszy 7 maja 1945 roku, która zakończyła II Wojnę Światową w Europie.

Pearl Harbor doprowadził też do wydarzeń z 6 i 9 sierpnia 1945 roku. Wówczas amerykańskie lotnictwo rzuciło bombę atomową *Little Boy* na Hiroszimę, a 9 sierpnia – bombę *Fat Man* na Nagasaki.

Te zdarzenia nie tylko prowadziły wprost do japońskiej kapitulacji 2 września 1945 roku, ale też zaczęły nową erę – światowego, nuklearnego wyścigu zbrojeń. *Ale to już inna opowieść.*

GUSTAW MARCINKOWSKI

TRUE CRIME

mrożące krew w żyłach historie i nierozwiążane zagadki...

LUDOBÓJSTWO W SZCZECINIE SPRAWA JÓZEFA CYPPKA

HISTORIA JÓZEFA CYPPKA SZYBKO ROZNIOŚLA SIĘ PO Ulicach SZCZECINA. SERYJNY MORDERCA-KANIBAL SIAŁ ZAMĘT I POSTRACH NA Ulicach. CIĘŻKO USTALIĆ, KTO GŁÓWNIE PADAŁ JEGO OFIARĄ. JEDNAK CZY WSZYSTKIE INFORMACJE PODANE W INTERNECIE O JÓZEFIE CYPPKU SĄ PRAWDĄ? JAK WIELE ZATAIŁA PRZED NAMI POLICJA? CZEGO TAK NAPRAWDĘ DOPUŚCIŁ SIĘ MĘŻCZYZNA ORAZ CZY POGŁOSKI O HANDLU LUDZKIM MIĘSEM SĄ PRAWDĄ?

TRUDNE DZIECIŃSTWO, CZY USŁANA RÓŻAMI PRZESZŁOŚĆ?

Joseph Zuppeck, bo właśnie tak początkowo nazywał się morderca, pochodził z mieszańczej rodziny. O jego młodości niewiele wiadomo. Jego matka była Polką, natomiast ojciec Niemcem. Mimo znajomości obydwu języków od najmłodszych lat uważały się za Niemca. Niedługo po wybuchu I wojny światowej rozpoczął pracę jako ślusarz w Szczecinie. Nie był lubiany w gronie pracowników przez swoje ciche i tajemnicze zachowanie. W 1915 roku został powołany do wojska na front niemiecki. Otrzymał aż dwa medale za honorową walkę, przepłacając to zdrowiem.

W 1917 roku Zuppeck został postrzelony w nogę. Rana była na tyle poważna, że doprowadziła do amputacji całej kończyny. Niepełnosprawność mężczyznę uniemożliwiła mu dalszą karierę wojskową. Niezadowolony z wyniku wojny wstąpił do nielegalnej, Komunistycznej Partii Niemieckiej, za co został skazany na 3 lata więzienia. Po wyjściu na wolność założył rodzinę z Polką, z którą miał dwoje dzieci. Jednak ich szczęście nie trwało długo. Starszy syn poległ na froncie wschodnim podczas II wojny światowej, natomiast młodszy gdzieś w okolicach Śląska podczas służby wojennej. Niedługo po tych wydarzeniach odeszła również żona Zuppecka w czasie bombardowania Opola. Sam przyszły przestępca trafił do Szczecina. Szybko ułożył sobie życie na nowo z drugą żoną, będącą niemiecką prostytutką. Utrzymywał kontakty głównie z niemieckimi sąsiadami. Gdy jego żona trafiła do więzienia pod zarzutem sutenerstwa, Józef dostał nową pracę.

ZYPPEK CZY CYPPEK?

5 lipca 1945 roku Szczecin oficjalnie przekazano Polsce. Wówczas mieszkało tam wciąż około 90 tys. Niemców. Po tym wydarzeniu nastąpiło masowe wysiedlenie dotychczasowych mieszkańców miasta. Ogromna liczba zmniejszyła się do zaledwie 6 tysięcy. Zyppek również starał się opuścić miasto. Niestety władze nie wydały zgody z powodu braku fachowców takich jak on oraz mieszanego pochodzenia. Nie mając wyjścia, pogodził się z rzeczywistością. Właśnie wtedy uzyskał nowe dokumenty tożsamości ze zmienionym imieniem oraz nazwiskiem na polską wersję. W taki sposób Joseph Zyppek stał się Józefem Cyppkiem.

POGŁOSKI O ZŁOTOWŁOSYM MĘŻCZYŹNIE

Gdy druga żona Cypka odsiadywała wyrok w więzieniu, do jego mieszkania wprowadził się młody, złotowłosy mężczyzna. Nie znano jego tożsamości, dlatego wśród sąsiadów pojawiły się pytania, kim może być nowy współlokator tego bardzo zamkniętego i gburowatego człowieka. Józef naprostował sytuację, tłumacząc, że jest to jego zaginiony syn. Po krótkim czasie chłopak zniknął bez śladu oraz jakichkolwiek wyjaśnień. Do tej pory nie ma pewności, co się z nim stało. Według domysłów mieszkańców oraz policji założono, że padł ofiarą Cypka.

NAJWIĘKSZE PRZEWINIENIE JÓZEFA CYPPKA

Najstraszniejsza historia związana z Cypkiem wydarzyła się 11 września 1952 roku. Na ulicy Wilsona 7 mieszkał pan Jarosz. Był on sąsiadem mordercy. Po powrocie z pracy zastał w domu zamiast żony sąsiadkę Zofię. Kobieta opiekowała się jego dzieckiem. Była umówiona z panią Ireną. Gdy przyszła o umówionej porze, nie zastała koleżanki. W mieszkaniu znajdowało się jedynie kilkumiesięczne niemowlę. Poza kobietą z mieszkania zniknęła również pierzyna, męski zegarek oraz dwa garnitury. Jarosz wyglądając przez okno, zauważył swoją pościel w mieszkaniu Józefa. Natychmiast tam pobiegł. Drzwi i okna były zamknięte, a z mieszkania nie było słychać żadnych odgłosów. Mężczyzna zdecydował się zawiadomić o tym milicję. Funkcjonariusze od razu weszli do środka budynku. To, co zobaczyli w środku, opisali w notatce:

„W pokoju na kanapie leżały zwłoki kobiety, z odciętą głową, rękami, nogami i wyciągniętymi wnętrznościami. Ręce i jedno udo przy szafie. Wnętrzności – w wiadrze pod oknem. W kuchni na zlewie, krzesłach i drzwiach czerwone plamy – część nieudolnie pościerana. Na półce przy kaflowej kuchni miska do połowy wypełniona czerwoną cieczą. Obok maszynka do mielenia mięsa ze śladami mielenia. Na talerzach serca i wątroba ludzka. Na stole, na patelni niedojedzona jajecznica z jakimś tłuszczem. Obok chleb ze smalcem, sałatka z pomidorów i kawałek surowego mięsa, chyba wołowego. Po mieszkaniu wałyły się butelki po piwie i wódce”.

Tego samego dnia Józef Cyppek został aresztowany. Po dokładnym obejrzeniu ciała, Jarosz potwierdził tożsamość swojej żony. Podczas sekcji zwłok nie można było ustalić dokładnej przyczyny śmierci z powodu braku głowy. Natomiast jeden z lekarzy napisał notatkę na temat zauważonych obrażeń: „Sposób poćwiartowania zwłok – jednorazowe cięcia, bez powtórzeń, równe w stawach i wydobycie narządów wewnętrznych świadczą o pewnej fachowości sprawcy, wprawnej technice cięcia”. Świadczyły one o fachowej technice sprawcy. Zatem, czy jest to bezpośredni dowód poprzednich zbrodni mężczyzn?

UTOPIONA GŁOWA, ALE CZY NA PEWNO TYLKO JEDNA?

Podczas przesłuchania nie trzeba było długo czekać, żeby mężczyzna zaczął śpiewać. Od razu przyznał się do winy. Zabił Irenę Jarosz, ponieważ ta wielokrotnie odmawiała mu stosunku. Józef podstępem sprowadził kobietę do swojego mieszkania, znierpliwiony zabił ją jednym ciosem w głowę. Według zeznań poćwiartował ciało Jarosz ze względu na łatwiejsze przechowywanie. Natomiast odciętą głowę kobiety utopił w pobliskim stawie. Po wysuszeniu wody, znaleziono nie jedną, lecz kilkadziesiąt czaszek należących do osób zaginionych w przeciągu ostatnich 20 lat. Niestety milicji nie udało się zdobyć wystarczających dowodów, by przyporządkować je do zbrodni mężczyzn. Ciekawym faktem jest to, że Cyppek nigdy nie przyznał się do kanibalizmu ani handlu ludzkim mięsem. Jednak z jakiego powodu wyciął jej wnętrzności? Czy mięso na znalezionej w jego mieszkaniu kanapce było wyciątego z ciała Ireny? Niestety policja nie udostępniła informacji na ten temat.



Natomiast zastanawiającymi przedmiotami znalezionymi w mieszkaniu Cypka były: podręczniki do anatomii, damskie sukienki i bielizna oraz dziecięce ubranka. Były one dowodami innych zbrodni, które nigdy nie zostały mu udowodnione, z powodu nacisku na szybkie przeprowadzenie sprawy. Pozostaje jedynie interpretować sytuację na własny sposób na podstawie informacji, którym udało się prześlizgnąć do prasy.

KARA ŚMIERCI WYSTARCZY?

Sprawę sądową podjęto błyskawicznie już w chwili aresztowania kanibala. Ostatecznie Cyppek został skazany jedynie za morderstwo na tle seksualnym. Pozostałe poszlaki i pogłoski, takie jak: handel ludzkim mięsem czy zabójstwa dzieci zdecydowano zignorować. Jednak dlaczego na sprawie sądowej nawet nie wspomniano o wyciętych organach, porozrzucanych po pokoju? Czyżby o nich całkowicie zapomniano? Postąpiono tak z powodu odgórnego nakazu pośpiechu i utajnienia sprawy. Prawdopodobnie władze nie chciały dopuścić do linczu na Niemcach, do których mogłyby podburzyć miesiane pochodzenie zbrodniarza. Wyrok zapadł około dwóch tygodni po aresztowaniu Cypka. Skazano go na wyrok śmierci przez powieszenie. Starał się ostatecznie uzyskać ułaskawienie prezydenta Bolesława Bieruta, jednak bezskutecznie. Cyppek został stracony 3 listopada 1952 roku. Mężczyzna nigdy nie został przebadany pod względem psychologicznym. Dlatego nie znamy jego prawdziwych intencji oraz powodu tak okrutnego zachowania. Możliwe, że wynikło ono z przeżytych traum wojennych, problemów alkoholowych lub tożsamościowych.

MIEJSKA LEGENDA

Podczas przesłuchania Józef Cyppek opowiedział milicji o zamordowaniu jeszcze kilku małych chłopców. Według mężczyzny doszło do tego w podziemiach budynku znajdującego się w pobliżu Akademii Rolniczej. Miejsce to było wszystkim dobrze znane. Niepełny rok wcześniej zamknięto tam rzeźnię. Jednak różniła się ona znacznie od innych, ponieważ handlowano ludzkim mięsem. Prowadziły ją dwie osoby. Tak samo jak mieli w zwyczaju po pracy chodzić do kina oraz odcięte głowy wrzucać do zbiorników wodnych.

Czy to zaskakujące podobieństwo jest przypadkiem? Tego nie dowiemy się już nigdy, ponieważ podejrzany nie żyje, a wszystkie ślady po tylu latach zniknęły. To tylko jedna historia z wielu o Józefie Cypku, których nie da się potwierdzić. Znaczna większość z nich jest całkowicie zmyślona lub nie łączy się z rzeczywistymi faktami. Jednak do dziś historia mężczyzny rozbudza wyobraźnię pasjonatów kryminalistyki.

JOANNA TRACZ

ZNACZENIE KOLORÓW W MARKETINGU

Ostatnio zastanawiałam się, dlaczego logo McDonald's jest czerwono-żółte. Jak się okazuje, nie jest to przypadkowe dobranie kolorów. Kolory wpływają na naszą psychikę, dzięki czemu człowiek podświadomie odczytuje cele i zamiary firm – to, co chcą nam przekazać.

Każdy wie, że zielony uspokaja, a czerwony pobudza, ale co z pozostałymi kolorami? Jak podaje strona callpage.pl najczęściej używanym kolorem w reklamach jest niebieski. Jest to spowodowane tym, że wzbudza on zaufanie oraz poczucie bezpieczeństwa. Jego zaletą marketingową jest również fakt, że jest lubiany zarówno przez kobiety, jak i mężczyzn. Niebieskie są zatem logotypy firm farmaceutycznych, np. Adamed, lub fundacji, takie jak Unicef. Rzadziej stosuje się brązowy oraz pomarańczowy, ponieważ te kolory nie są lubiane przez większość ludzi. W zależności od tego, do jakiej grupy odbiorców ma trafić produkt, takie zabiegi kolorystyczne się stosuje. Jeśli konsumentami mają być kobiety, to stosuje się m.in. zielony czy fioletowy, jeśli mężczyźni to używa się czarnego czy zielonego. Ale właściwie jak te kolory wpływają na nas? Żółty może być kojarzony z radością, ale również ostrzeganiem. Zdecydowanie przyciąga wzrok, dlatego stosuje się go w małych ilościach, aby zaciekać, a nawet wzbudzić lekki niepokój. Został wykorzystany m.in. przez McDonald's, dzięki czemu ich logo jest widoczne z dużej odległości i kojarzy się z czymś miły. Pomarańczowy, podobnie jak żółty, przyciąga uwagę, jest on interpretowany optymistycznie, skłania do pośpiechu. Może również oznaczać, że coś jest tanie, dlatego jest to idealny kolor dla firmy kurierskiej FedEx Express.

Czerwony ma wiele znaczeń. W zależności od otoczenia może być to kolor miłości, ostrzeżenia, a nawet pasji. Pobudza do działania, ale nie można stosować czerwonego w zbyt dużych ilościach, bo zniechęci to konsumentów. Jest on stosowany przez wiele marek gastronomicznych takich jak Coca Cola czy Lay's lub KFC. Fioletowy jest postrzegany jako bardzo unikatowy i wyróżniający się. Jest kojarzony z produktami drogimi oraz ekskluzywnymi, co wynika z jego przeszłości, ponieważ kiedyś był to kolor zarezerwowany dla osób wysoko postawionych. Został użyty przez marki Milka oraz Whiskas, aby kojarzyć się one z czymś pożądanym przez innych. Zielony jest kojarzony z naturą i spokojem. Barwa ta pobudza również kreatywność, zastosowano ją w logo ekologicznej firmy GreenFood. Czarny jest postrzegany jako elegancki, szykowny i klasyczny. Może sugerować, że towar jest z tzw. wyższej półki. Najoczywistszym przykładem jest firma Apple, która wielu ludziom kojarzy się z elegancją i jest uważana za wyznacznik majątku. Warto o tym pamiętać w szale zakupów świątecznych, noworocznych, walentynkowych... Producenci zrobią wszystko, aby przekonać nas do zakupu.

KAMILA TULA

PROBLEM PŁYTKIEJ ANALIZY

Chmury to jedno z najważniejszych dzieł stworzonych w starożytności. Komedia Arystofanesa wywarła wielki wpływ na ówczesnych widzów oraz miała duże znaczenie podczas procesu Sokratesa. Do dziś jest analizowana. Mimo to nie uważa się jej za dzieło wybitne, sprowadzono je do twórczości oczerniającej Sokratesa, komedia została obdana z jakiegokolwiek charakteru i co gorsza - weśniąta do kanonu lektur szkolnych (co na starcie ją skreśla). Gdy mówimy o *Chmurach* nie mamy na myśli samodzielnego utworu, jest on zawsze analizowany jako fragment historii Sokratesa, bezsprzecznie uważanego za jednego z największych filozofów wszechczasów. I nie będę was przekonywał do tego, że powinniście czuć radość podczas czytania *Chmur*, bo nie oszukujmy się - ta komedia nie jest ani przyjemna, ani śmieszna. Gdyby jednak zdarzyło się, że trzeba będzie przeczytać to „dzieło”, to w pierwszej części mojego artykułu podałem tipsy, które pomogą czerpać jakąś, choćby najmniejszą, radość z lektury. A dalej... dalej to zaczynę unosić się nad wspanialością prześledzenia *Chmur*.

Zanim zacznę chciałbym przedstawić pokrótkę fabułę utworu. Głównym bohaterem jest Strepsjades, grecki chłop, który popadłszy w długi, udał się do Sokratesa, mając nadzieję na pomoc w wykpieniu się z należności. Filozof w utworze przedstawiony jest jako słynny sofista, który naucza skutecznego argumentowania (niezależnie od tego, czy mówca ma rację, czy nie) za pieniężde, co miałoby pomóc chłopu. Ważne jest także to, że w problemie finansowym Strepsjades wpadł w wyniku nałogowych transakcji Fejdipidesa, jego syna, dotyczących koni, wielkiej pasji młodzieńca. Sokrates przez pewien czas próbuje nauczać Strepsjadesa, a zorientowawszy się, że bohater jest po prostu zbyt głupi, by posiąść wiedzę, wyrzuca go ze swojej szkoły. Chłop nie poddaje się i wysyła na nauki do myśliciela swojego syna. Teraz mamy do czynienia z walką głosu Prawego oraz Nieprawego, bitwa toczy się o prawo do edukacji i nauki Feidipidesa - pierwszy głos mówi o czasach, gdy ludzie żyli według zasad, młodzież hartowali swoje ciała i umysły, żyli cnotliwie, cnota bowiem była dla nich największą wartością. Głos ten ostrzega też, co się stanie z Feidipidesem, gdy ten nie wybierze jego drogi. Drugi (głos Nieprawego) natomiast udowadnia brak korzyści pochodzących z cnoty oraz multum możliwości pochodzących z śmiałości i biegłości w retoryce, tutaj powołując się na autorytet Homera. Zwycięża mówca Nieprawego. Po powrocie Feidippidesa z nauk Strepsiades co prawda wymiguje się od długów, lecz sam zostaje pobity przez syna. Dodatkowo uczeń Sokratesa udowadnia ojcu, że ma pełne prawo go tłuc – w końcu potrafi po nauce Sokratesa fantastycznie posługiwać się słowem. W akcie zemsty chłop podpalą myślicielnię (szkołę) Sokratesa. Jak widać akcja nie jest zbytnio skomplikowana. Oczywiście całość, jak to komedia, obfituje w gagi oraz scenki humorystyczne, które, nie oszukujmy się, w żaden sposób nie śmieszą. Sprawia to, że, może was zaskoczę, ale utwór wcale nie jest śmieszny – a niektórych momentach po prostu żałosny. To wszystko na pewno daje podstawy do nazwania *Chmur* słabym utworem. Jednak jestem pewien, że spojrzenie na dzieło Arystofanesa jako polityczne, mówiące o mechanizmach społecznych pozwoli czerpać radość z lektury.

JAK?

Trzeba tylko myśleć o starożytnej komedii jako o dziele napisanym przez współczesnego pisarza. Wtedy *Chmury* zaczynają pokazywać ukryte konteksty, przypominające stand-up, nagrywanie się ze sfer inteligenckich, ostatecznie zaś odkryć można wiele odniesień aktualnych także dzisiaj. Oczywiście nie jest to napisane w takim celu i kontekście oraz oczywiście nie jest napisane przez współczesnego pisarza, ale jako czytelnicy jesteśmy w stanie przyjąć takie założenie i wtedy to dzieło naprawdę zaczyna być przystępne, śmieszne i nawet ciekawe. Ale przecież nie czytamy czegoś po to, żeby się zmuszać, tworzyć triki, które pozwolą czerpać z lektury radość. W ten sposób każda książka, nawet napisana przez najgorszego pisarza, będącego w najgorszej formie, mogła być nawet ciekawa – a tak nie jest. Otóż, żeby naprawdę wynieść z *Chmur* to, co najważniejsze, polecamy pozytywnie poczytać o genezie dzieła, bowiem Arystofanes był myślącym człowiekiem, który starał się znaleźć źródło choroby toczącej Ateny. Winą obarczył, poniekąd słusznie, sofistów. Jego błąd polegał na uznaniu Sokratesa za jednego z nich, co w połączeniu z autorytetem, jakim Sokrates cieszy się wśród Europejczyków, skutkuje natychmiastowym zanegowaniem racji Arystofanesa. Ale warto zadać sobie pytanie, czy Sokrates dostarczał powodów do nazwania go tym haniębnym, w oczach Arystofanesa, epitetem – sofistą? Czy największy myśliciel wszechczasów mógł wydawać się demagogiem? Nie. Sokrates chodził po ateńskich ulicach i zadawał ludziom pytania, na które nie było wtedy, a na większość nie ma nawet teraz, odpowiedzi. Był przy tym niesamowicie charyzmatyczny, czego można się domyślać na podstawie tego, że mimo udowadniania obywatełom ich głupoty, nadal zebrał dokoła siebie grupkę ludzi chętnie go słuchających i powtarzających jego słowa. Na temat Sokratesa już za jego życia zaczęły krążyć legendy i anegdoty, jak na przykład ta:

Sokrates odwiedził najmądrzejszego człowieka w Atenach i gdy ten mu potwierdził, że rzeczywiście jest najmądrzejszy, myśliciel zapытаł go o pogodę na dworze. Trzeba wam wiedzieć, że mądrze ten mieszkał w jaskini. Według anegdoty Sokrates odpowiedział mu wtedy, że on jest mądrzejszy, bo wie, że na dworze pada deszcz.

Ta historia, jak i inne, w dodatku z naukami, jakie Sokrates prawił oraz w jaki sposób podważał autorytet bogów olimpijskich, daje obraz już nie sofisty, już nie demagoga. Sokrates był dla ówczesnych Aten oraz Grecji o wiele groźniejszy i to zauważał Arystofanes. Należałoby jeszcze spojrzeć na to, co sobą reprezentuje Sokrates. Jest to człowiek zadający pytania, niemający żadnego szacunku do bogów, nieceniący sztuki, tworzący nowe trendy w filozofii. Człowiek posługujący się rozumem ponad emocjami, patrzący na wszystko zimnym, logicznym wzrokiem. Jest on całkowitym przeciwieństwem tego, co stara się reprezentować stara starożytna Grecja oraz jej reprezentant, Arystofanes. Spójrzmy na przykład na *Illiadę*, klasyczny przykład sztuki starszej starożytnej Grecji. Bohaterowie posługują się głównie swoimi emocjami, każde ich działanie jest wynikiem jakiejś specyficznej namiętności, miłości, nienawiści bądź wściekłości. Wszystko to pokazuje, jak romantyczna była SSG (Starsza Starożytna Grecja). Nawet jeśli rzeczywistość nie była kolorowa, to ważne dla nich było, by mieć namiastkę pięknego i romantycznego życia. Z drugiej strony Sokrates jest symbolem zmian następujących w Atenach i innych polis. W pewien sposób jego nauczanie jest punktem zwrotnym filozofii greckiej – zaczyna zajmować się człowiekiem i kończy erę filozofów przyrody. Dodatkowo odważa się zadawać pytania dotyczące bogów, wtedy wartości niepodważalnych. Nasila, przyspiesza i pogłębia zmiany będące końcem kultury SSG.

NAJWAŻNIEJSZA Z WOJEN

Czym są w takim razie *Chmury*? To dzieło niewątpliwie przełomowe, ponieważ rozpoczęło najważniejszą wojnę humanistyczną wszechczasów. Toczy się ona od wieków i jest wojną pomiędzy spojrzeniem i literaturą romantyczną oraz słynnym „mądrą szkieletem i okiem”. Wspomniany przeze mnie cytat jest częścią wiersza Mickiewicza pt. *Romantyczność*, który mówi dokładnie o tym samym. Mimo tego, że tylu znamienitych pisarzy, tylu fantastycznych twórców, reżyserów czy designerów poparło stronę romantyczności, mam wrażenie, jakby ta wojna była już przesądzona. Wrażenie kontroli oraz chęci do jej utrzymania, a co za tym idzie ciągle zabieganie oraz brak czasu, zbytnio pochłania ludzi i nikt już nie myśli o sztuce samej w sobie. Widać to doskonale na przykładzie programu edukacji, którego założeniem było przecież wspomagać nauczycieli w rozwoju naszych, uczniowskich horyzontów, a przejął on całkowicie kontrolę nad naszą edukacją. Czy na przykładzie polityki, która miała przecież być wtórna wobec życia obywatelei, po to przecież w ogóle powstała, by zwykli obywatele nie musieli myśleć o sprawach wagi państowej, tymczasem muszą patrzyć w ręce. Zabiera to nam czas na myślenie o sztuce, filozofii, pięknie i życiu.

POLITYKA

Różnice w odbiorze polityki oraz tego jak powinna wyglądać jest jeszcze inną oraz równie ciekawą osią sporu. Pomyśl na politykę, który reprezentował Sokrates miał jeszcze dużo czasu na ewolucję i zmiany, a już w czasach największego z filozofów stawał się dużo popularniejszy wśród Ateńczyków, ale też innych polis. Ludziom znudziło się wyłącznie wybieranie swoich przywódców, potrzebowali zmian. Nie ma w tym nic dziwnego, każdy człowiek zmian potrzebuje, rozwijaniem Sokratesa było interesowanie się polityką. Jestem pewien, że myśliciel nie myślał jednak o tym, co z jego koncepcją zrobi jego pośredni spadkobierca, Arystoteles. Jego słynne słowa: *Człowiek jest z natury zwierzęciem politycznym* czy *Polityka*, jedno z najważniejszych dzieł o polityce w historii, pozwalają postawić dosyć radykalny wniosek. Wszyscy ludzie chcący nazywać się inteligentnymi powinni interesować się polityką i znać się na niej. Jeżeli to nie jest zaprzeczenie wszystkiego, co idzie z romantyczną wizją świata Arystofanesa, to nie wiem jak jeszcze bardziej dałoby się pogłębić tego biednego człowieka.

*Czy warto w takim razie zająć się *Chmurami*? W moim mniemaniu, jak najbardziej. Całość daje dużo miejsca na myślenie, więc nawet jak nie przypadnie wam do gustu sama komedia, to nic straconego, nie o to w tym chodzi. Zresztą, jak już pisalem, nie będącie w tym osamotnieni.*

JUREK JASKÓLSKI

MAŁE MARKI PEREŁKA SLOW FASHION

Potrzebą każdego człowieka jest poczucie wyjątkowości, indywidualności. Czy elementy naszego wyglądu zewnętrznego mają wpływ na poczucie wyjątkowości? Sądzę, że tak. Spośród wielu kont z szerokiej oferty produktów każde z nich jest osobliwe, dedykowane. Tak więc zauważać można ciekawy związek między niepowtarzalnymi cechami ludzi a jedynymi w swoim rodzaju przedmiotami *hand-made*. Z przyjemnością przybliżę Wam sylwetki niesamowitych, pełnych kreatywności rękodzielniczek, które tworzą produkty o takich właśnie cechach!



@glinuje

Hejka, nazywam się Martyna i od marca tego roku prowadzę swój mały biznes zajmujący się produktami z gliny samoutwardzalnej tzw. „gliniaki”. Jest to niezwykle uspokajające zajęcie niestety bardzo dużo przy tym bałaganu. Glinowanie sprawia mi ogromną radość, ponieważ mogę przenieść w ten sposób swoje emocje na glinę. Świadomość, że tworzę coś własnego i niepowtarzalnego jest niesamowita! Moim ulubionym etapem jest zdecydowanie koniec, czyli lakierowanie gliniaka. Dodaje mu wtedy blask i wtedy cudownie się mieni pod słońcem.



@wiszecinauszach

Cześć, jestem Magda. Tak naprawdę od dziecka interesuje mnie tworzenie rzeczy własnoręcznie, zawsze lubiąc zajmować sobie czas w sposób kreatywny. Swoją działalnością z kolczykami rozpoczęłam na początku bieżącego roku, dokładnie w lutym :) Wszystko głównie za sprawą pandemii – musiałam znaleźć sobie jakieś zajęcie, ponieważ w tamtym czasie moje życie było monotonne i nie miałam niczego, co naprawdę mnie do działania. Zazwyczaj kończyło się na tym, że spędzałam mnóstwo czasu, patrząc w ekran telefonu, co jest oczywiście bardzo niezdrowe.



@kanbee_jewellery

Cześć! Mam na imię Kasia i prowadzę swój mały biznes Kanbee od ponad roku. Kanbee to marka biżuterii z koralików. Na początku mojej działalności tworzyłam biżuterię subtelną, dziewczętą, kolorową, z dużą ilością kwiatów oraz serc. Z czasem biżuteria, którą oferuję robiła się coraz bardziej urozmaicona, a w grę weszły również większe koraliki i bardziej stonowane kolory. Moje zamiłowanie do koralikowej biżuterii pochodzi jeszcze z dzieciństwa, kiedy to godzinami siedziałyśmy z koleżankami na podwórku i tworzyliśmy różne rzeczy z koralików.



@torba.borba.na.bazarek

Hej! Mam na imię Maria, jestem obecnie na drugim roku studiów wiedzy o kulturze na UW. Uwielbiam tańczyć i szyć. Torbę Borbę założyłam w listopadzie 2020 roku. Moja miłość do tworzenia korzeniami sięga jednak dużo dalej – igłą i nitką bawiłam się od dziecka (kiedyś nawet zniszczyłam franki w sypialni rodziców, bo chciałam z nich uszyć sukienkę dla lalki). Mój mały biznesik produkuje torby, pokrowce i woreczki z materiałów z odzysku, czasami ozdabiam je haftem, a czasami pozostawiam tkaninę samej sobie. Oprócz gotowych egzemplarzy na sprzedaż „od ręki” tworzę też na zamówienie.

Rękodzielnictwo jest częścią cudownego ruchu slow fashion. Można go scharakteryzować jako unikanie konsumpcjonizmu i rozsądne kupowanie. Z przeciwnieństwem powolnej mody wiąże się problem fast fashion. Polega on na masowości kupowania i wybieraniu marek, które tworzą kolekcje z myślą o zysku, często z niezbyt dobrego jakościowo i środowiskowo materiału. Ciekawym zjawiskiem jest to, że niejednokrotnie rynek szybkiej mody wzoruje się na markach, które tworzą w duchu rozsądnego kupowania. Oczywiście pochwalać można wprowadzanie lepszych materiałów. Zdarza się jednak tak, że „szybki” rynek przejmuje pomysł na kolekcje biżuterii, powtarzając pomysły rękodzielników. Zaglądając do większych sklepów, wielokrotnie zauważam produkt ludzko podobny do tego, który można kupić u rękodzielnika. Przykro jest to, że marki odzieżowe, czerpią jedynie wizualną część produktu ręcznie wykonanego, zapominając o jego charakterze „powolnomodowym”. Na ten temat najlepiej wypowiedzą się twórczynie, które z takim zjawiskiem mają do czynienia na co dzień.

@KANBEE JEWELLERY „Odkąd biżuteria z koralików zaczęła zyskiwać na popularności, coraz to więcej napotykałam produktów wzorowanych na technice handmade sprzedawanych w różnych sieciówkach (...) Nie możemy być konkurencyjni cenowo z czymś, co jest produkowane maszynowo na skalę masową, albo co gorsza – tanią siłą roboczą. Ale taka jest kolej rzeczy, celem dużych korporacji jest zysk, więc nic dziwnego, że wzorują się na tym, co jest akurat modne. Fajnie by było oczywiście rękodzielco zostawić rękodzielnikom, ale cóż...”

@GLINUJE „Slow fashion to dla mnie super inicjatywa i rozwiązywanie dla środowiska. Niestety pojawiają się firmy tworzące na skalę światową, które wielokrotnie kradną pomysły małych biznesów między innymi na sweterki i spodenki. Największą różnicą, jaką dostrzegam między rzecznymi stworzonymi masowo a rękodzielkiem, jest to, że u nas każdy produkt jest unikatowy i nie da rady, choćbym nie wiem jak bardzo się starała, aby zrobić dwa identyczne gliniaki. Zawsze jeden będzie miał albo większe oko, albo mniejszy nos. To jest wspaniałe, że wiesz, że nikt na świecie nie ma takiej samej pracy. Wiele razy wstępując do sklepów fast fashion, widziałam identyczne naszyjniki jak u innych małych biznesów. Do tego wygórowała cena produktu. Aż przykro się człowiekowi robi, kiedy wie, ile czasu i starań wkładają dziewczyny w swoje prace, a ogromne firmy bezkarnie to kopiąją”

@WISZECINAUSZACH „Slow fashion według mnie jest świetną formą odejścia od konsumpcjonizmu, a dzięki temu zyskują nie tylko nasze portfele, ale także środowisko! Rzadko kiedy kupuję w sieciówkach, zdecydowanie wolę sklepy z odzieżą z drugiej ręki. Myślę, że do slow fashion zaliczają się także biznesy handmade. U wielu twórców jest opcja zamówień indywidualnych. Ich fenomenem jest tworzenie produktów, które mają całkowicie odpowiadać specyficzny wymaganiom danego klienta. Myślę, że największą różnicę między wyrobami handmade a masówką stanowi jakość produktu, wydajność oraz jego oryginalność. Dobra tworzone własnoręcznie zwykle są robione przede wszystkim z pasji, od serca”.

@TORBA.BORBA.NA.BAZARE „Należy pamiętać, że nasze codzienne wybory mają znaczenie – ziarnko do ziarnka i możemy poprawić jakość życia sobie i ludziom, których wspieramy finansowo, korzystając z ich usług. Cały czas widzimy, jak w dużych sklepach sieciowych pojawiają się dzianiny wyglądające „jak robione na drutach”, biżuteria „jak handmade” i dodatki „jak ręcznie haftowane”. Po co się tak oszukiwać? (...) Całym sercem zachęcam wszystkich czytelników – poszukajcie zakładów rzemieślniczych w swojej okolicy, zróbcie dobry użytk z Internetu i może pójdzicie odwiedzić swojego lokalnego szewca, szczołkarza, rękkawicznika, modystkę, parasolnika... Może warto w tym roku pod choinkę sprawić najbliższym prezent handmade – ręcznie haftowaną torbę z inicjałami, naszyjnik z koralików z odzysku, świecę zapachową z małej pracowni... Wspierajmy się nawzajem – Wasze przemyślane wybory i nasze, rękodzielnicze wysiłki, idą w parze i mogą nam dać kawałeczek milszelego świata”.

Cieszę się, że mogłam przybliżyć postaci wspaniałych rękodzielniczek i poznać ich opinię na temat problemu *fast fashion*, który bezpośrednio wpływa na rozwój ich małego biznesu. Produkty handmade nie tylko są cenne ze względu na proces tworzenia. Kupując u marek instagramowych, dostajesz w prezencie kawałek pasji. Dokładnie tę myśl ujęła **@torba.borba.na.bazarek**: „Kupując u małych przedsiębiorców, wspieramy konkretne osoby, doceniając i wynagradzając lata spędzone na doskonaleniu danego rzemiosła. Z rękodzielnikiem łączyc mnie drobiazgowa i dokładna praca i długie godziny spędzone na dążeniu do perfekcji”. Twórcy nawzajem doceniają swoje prace, przez co tworzą niezwykle kreatywną społeczność. Te relacje między rękodzielnikami opisały:

@GLINUJE: „Rękodzielnik to dla mnie osoba, którą bardzo doceniam i podziwiam. To, ile pracy człowiek wkłada w swoje dzieło i swoimi rękoma, jest dla mnie wyrazem ogólnego szacunku wobec klienta”.

@WISZECINAUSZACH: „Rękodzielnik jest dla mnie artystą, człowiekiem na pewno kreatywnym, wyrażającym siebie poprzez swoje prace. (...) Myślę, że głównie łączy nas pasja, z którą tworzymy nasze produkty. Nie jest to produkcja przemysłowa – każda pojedyncza praca zawiera pewne walory artystyczne, a przede wszystkim jest tworzona od serca”.

Z perspektywy rękodzielnika tworzenie jest nie tylko pasją wykonywania ich ulubionego produktu. To również pasja nawiązywania kontaktu z ludźmi, którzy doceniają ich pracę.

@KANBEE JEWELLERY: „Największą radość czerpię z tego, że tworzę biżuterię dla kogoś. Każda pozytywna opinia sprawia, że mam ochotę tworzyć jeszcze więcej. Najbardziej doceniam możliwość stworzenia czegoś, co będzie cieszyć drugą osobę. Nie jestem w stanie nawet opisać tego uczucia”.

KACZY FENOMEN

Kaczki – wydawały się – banalna sprawa. Ot, ptak. Jednak mają one w sobie coś... coś wyjątkowego. Gdy podczas kwarantanny relacje społeczne nawiązywano przez Internet, dołączyłam do niejednej grupy na Facebooku zrzeszającej miłośników kaczek. Jak to się dzieje, że mają tylu wielbicieli? Przeprowadziłam dochodzenie.

Postać kaczki pojawia się w kulturze od wielu już lat. W XIX wieku Hans Christian Andersen opowiedział historię o kaczątku, które w sumie nie było kaczątkiem, ale utrwało nam jego obraz na stałe. Gromadka żółciutkich, puszystych, krągły kacząt w przeciwieństwie do szarego, „dużego i brzydkiego” (prawo cytatu) łabędzia, została przedstawiona w bardzo dobrym świetle. Kontrast między nimi tym bardziej podkreślał urok kaczek.

Na równie pozytywnie urokliwe przedstawienie kaczek możemy się natknąć w znanej piosenecie Kaczuszki/Kaczuchy. Prosta piosenka o nietrudnej choreografii szybko wchodzi do głowy. W związku z tym idealnie nadaje się chociażby na lekcję rytmiki w przedszkolu. „Kaczuchowy” taniec jest powszechnie znany i wspólnie sprawdza się jako prosty „rozruszacz” towarzystwa, czy to na dziecięcych potańcówkach, czy hucznych weselach.

Dalej – Kaczor Donald. Choć jego choleryczny temperament prowadził do wciąż nawracających wybuchowych napadów kwakania i skrzeczenia, wzbudzał w człowieku sympatię. Samo dobrze pamiętam, jak to już w przedszkolu z rówieśnikami próbowaliśmy go naśladować. Były różne szkoły, różne metody, różne typy zamierzonych efektów, dzieci nawzajem wymieniały się swoimi trikami i poradami, była to niesamowita zabawa! Teraz na platformie YouTube jest mnóstwo filmów instruktażowych typu: „Jak uzyskać głos Kaczora Donalda?” i niektóre z nich osiągają ponad półtora miliona wyświetleń! Nic dziwnego – bohater ten jest postacią kultową.

Postać Kaczora została stworzona przez Walta Disneya, aby była kompanem Myszki Miki, lecz prędko sama się stała głównym bohaterem filmów krótkometrażowych. Po zagraniu w ponad 190 filmach Donald pojawił się w większej liczbie filmów kinowych niż jakakolwiek inna postać Disneya. Podbił ludzkie serca już parę pokoleń wstecz. Jego historia ciągnie się od 1934 roku. W między czasie przybierał różne formy. W czasach późnego PRL-u jego wizerunek zaistniał na gumach z komiksami, którymi później dzieci wymieniały się, aby ubierać całą kolekcję. Kaczor zabawiał dzieci kilkuobrazkowymi historyjkami. Na ówczesną popularność gumy wskazuje chociażby piosenka Majki Jeżowskiej, którą to wykonywała wraz z Magdą i Kasią Fronczewskimi, pod tytułem Z Donaldem w kieszeni. W refrenie usłyszyszmy Bo Donald w kieszeni / Nam humor odmieni / I stopnie poprawi / I uśmiech poprawi / I wszystko poprawi na lepsze! co w wręcz hiperbolizujący sposób oddaje zamiłowanie dzieci do kacych gum. Pod koniec wieku powstał też dwumiesięcznik komiksowy Kaczor Donald, w którym to dzieci mogły się już naprawdę rozsmakować w pełnowymiarowych historiach ich uwielbianego bohatera. I mimo że jego pomysłodawca zmarł ponad pół wieku temu, wciąż wytwarzane są produkty i pojawiają się ekranizacje, teraz już na masową skalę, w których występuje nasz Kaczor.

Wspomniałam o siostrach Fronczewskich, lecz i ich ojciec miał okazję przyczynić się do popularyzowania kaczek w kulturze. Choć nie każdy oglądał Akademię Pana Kleksa, chyba nie zdarzyło mi się spotkać osoby, która nie знаłaby Kaczki Dziwaczki. Ile to widziałam adaptacji tego wiersza Jana Brzechwy podczas licznych konkursów recytatorskich. Z lepszą dykcją czy gorszą, z całym kostiumem, czy z małą kokardką we włosach, za każdym kolejnym razem i tak zachwycał mnie ten utwór. Słyszałam go tyle razy, a nie nudził mi się. Znałam go z czasem już na pamięć, a dalej mnie zaskakiwał tym, jak wiele dzieci czerpało z niego zabawę!

Teraz muszę posłużyć się wykrzykniением. Kaczek się nie karmi chlebem! Na szczęście wielu ludzi jest tego świadomych, lecz jeszcze niedawno dawanie ptakom pieczywa było normą. Być może pozbycie się resztek z chlebaka było ludziom na rękę, jednak nietrudno jest zamienić pieczywo na odpowiedniesze produkty, takie jak ziarna czy warzywa (BEZ SOLI!). Kiedyś podczas rodzinnych wypraw do parku czy nad jeziorem karmienie kaczek chlebem było pewną tradycją – na szczęście dziś większość zabiera ze sobą, co innego. Rodzinna integracja, wyidealizowany obraz beztroskich spacerków i jednania się ze zwierzęciem w rzeczywistości wiązały się bowiem ze szkodzeniem kaczkom i przyczynianiem się do ich przedwczesnej śmierci. Wielu ludzi wciąż nie wie lub po prostu bagatelizuje ten problem i dalej dokarmia kaczki pieczywem. Widziałam jakiś czas temu nawet taką sytuację: staruszka z dziewczynką, rzucające z mostku okruszki. Lecz mimo moich najszczerszych chęci, wręcz poczucia obowiązku stania w obronie kacych układów pokarmowych, nie mogłam im zwrócić uwagi. Wizja zniszczenia tego pięknego momentu, jak się domyślam, babci i wnuczki, zatrzymała mnie. Nie miałam wewnętrznego przyzwolenia na przerwanie takiej chwili, choć widziałam, że kaczki przepłacą to zdrowiem.

Muszę zwrócić uwagę, że kaczki są nam bliskie i ze strony nieco bardziej... intymnej. Lecz nim się ktoś oburzy, sprostuję – chodzi o gumowe kaczki towarzyszące nam w kąpieli. Powstały one już prawie sto lat temu. Sam pomysł na gumową kaczuszkę wziął się z chęci zachęcenia dzieci do kąpieli, która mogła się dzięki nim wiązać z zabawą. W 1931 roku Eleanor Shannahan jako pierwsza zaprojektowała i opatentowała zabawkę wodną w kształcie kaczki, która to mogła zarówno unosić się na powierzchni wody, jak i tryskać nią na różne strony za pomocą małych otworów. Miało wywołać to efekt podobny do fontanny. Co ciekawe, jeden z pierwszych modeli powstał jako owoc współpracy producenta lateksu ze wspomnianym już przedtem Waltem Disneyem.



Masowa produkcja kaczuszek zaczęła się w 1947 roku, kiedy to rzeźbiarz Peter Ganine złożył wniosek patentowy na zabawkę kąpielową z winylu, która była już wyposażona w istotną piszczalkę.

SPRZEDANO 50 MILIONÓW EGZEMPLARZY!

Nikt by się nie spodziewał, że za dwadzieścia lat, a konkretnie w 1970 roku, kacza sława wejdzie na jeszcze wyższy poziom. W amerykańskim programie Ulica Sezamkowa pojawiła się w pewnym odcinku piosenka Rubber Duckie, gdzie znana postać – Ernie śpiewa w wannie piosenkę o swojej ukochanej kaczuszce. Piosenka stała się hitem, w 1971 roku znalazła się nawet na 11 miejscu popularnego magazynu muzyczno-rozrywkowego. Wraz z upływem lat powstawały coraz to bardziej wymyślne warianty kaczuszek. Stawały się one powoli czymś więcej. W 2001 roku robotnik odmalowujący łazienkę królowej Elżbiety II zauważał gumową kaczuszkę z koroną. Niedługo później w magazynie The Sun pojawił się o tym artykuł, co spowodowało na pewien czas wzrost o 80% sprzedaży gumowych kaczuszek w Wielkiej Brytanii! W 2013 zostały one wprowadzone do Toy Hall of Fame w muzeum w Rochester. Zabawki, które się tam znajdują, są wybierane na podstawie ich statusu ikony, długowieczności i innowacyjności, co tylko potwierdza ich „potęgę”. Można je spotkać na stoiskach z pamiątkami, ale i w sklepach przeznaczonych specjalnie dla nich. Po dziś kaczuszki powstają w coraz to nowszych odsłonach, przedstawiając różne popularne postacie, ale i inne zwierzęta, cały czas pozostając w formie kaczki. Są nawet konta na Instagramie, na których artyści przerabiają klasyczne małe gumowe kaczuszki w kacze drag queens (np. @drag_quacks). W 2011 roku został ustanowiony rekord największej kolekcji gumowych kaczuszek (posiadacz miał ich aż 5631!), w różnych krajach organizowane są ich wyścigi, zostały nawet układańskie na grobie niemieckiego komika Vicco von Bülowa jako forma ostatniego pożegnania w humorystycznym stylu. A to wszystko dzięki Eleanorze, która chciała tylko umilić mycie się i zmotywować nielubiące wody dzieci do dbałości o higienę...

Wizerunek kaczki służył szczególnie w zeszłym roku również podczas licznych protestów. Pozostając tu bezstronną pod względem politycznym, muszę przyznać, że przemierzające miasto pokreślone kaczki, transparenty z tekstem „Niby kaczka, a jednak świnia” nie były dla mnie niczym przyjemnym do oglądania. Zdarzało mi się nawet usłyszeć od ludzi, którzy dowiedzieli się o moim zamiłowaniu do kaczek, pytania czy noszone przez mnie kaczkowe akcesoria nie są manifestem politycznym. Przygotowując się do pisania tego artykułu, przeprowadziłam sondę uliczną, w której padały pytania o kaczkach. Parę osób od razu wyczuły jakąś korelację z nazwiskiem prezesa PiS. Część wypowiadała się o jego mocnym wpływie na wizerunek kaczek, choć nie wszyscy. Sporej części takie powiązania nie przychodziły same do głowy, co mnie nieco uspokoilo. Jednak symbol kaczki podczas manifestacji nie tylko występuje pod postacią „wroga” strajkujących. Trudno nie zauważyc, że pozostający w opozycji, największy antagonist Jarosława Kaczyńskiego ma na imię – Donald, co tylko dodaje żartobliwego smaczku politycznym starcom i przepychankom z obydwu stron.

Również w 2020 roku trwały młodzieżowe protesty w Tajlandii domagające się nowej konstytucji, reformy nietykalnej dotąd monarchii i rezygnacji premiera Prayuta Chan-O-Cha ze stanowiska. Podczas strajków policjanci traktowali uczestników gazami łzawiącymi i armatkami wodnymi. W dniu, w którym miało miejsce najbardziej gwałtowna z demonstracji, grupa protestujących zgromadziła się przed siedzibą policji w Bangkoku, wyposażona w wielkie dmuchane kaczki. Jak mówili przyniesione w formie żartu, stały się tarczami. To skutkowało kolejnymi kaczymi symbolami, zaczęto przedstawiać kaczki jako bohaterów. Były one również wykorzystywane w Rosji, gdzie parę lat temu strajkowano przeciwko Dmitrowi Miedwiediewowi i korupcji. Gdy zauważono, że w jednej ze swoich posiadłości na środku stawu znajduje się domek dla kaczek, stały się one symbolem zarzutów wymierzonych w kierunku Miedwiediewa. Wielka kaczka pojawiła się również jako maskotka podczas strajków w Brazylii przeciw Dilme Rousseff. W każdym razie, jak widać, mimo swego uroku (a być może właśnie dzięki niemu, dla zachowania kontrastu czy wskazania absurdowi sprawy) kaczki są wyśmienitymi kompanami w walce politycznej.

CÓŻ – W KACZKACH SIŁA!

HELA GRABICKA